



Marie Carré



TW1025 Filozof

PAMIĘTNIK ANTYAPOSTOŁA



SPIIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1.....	3
O TYM, JAK CZŁOWIEK BEZ IMIENIA PRAGNIE WYJAWIĆ NAJWIĘKSZĄ TAJEMNICĘ SWOJEGO ŻYCIA	3
ROZDZIAŁ 2.....	8
O TYM, JAK ODKRYWAMY, ŻE NIESZCZĘŚCIA WZMACNIAJĄ CZŁOWIEKA	8
O TYM, JAK DUMA ZOSTAJE WYWYŻSZONA, JAKO DOMINUJĄCA CECHA I NAJBARDZIEJ ZASZCZYTNA	12
O TYM, JAK ODGRYWANIE KOMEDII SKROMNOŚCI TRAFIA NA SKROMNĄ PRZESZKODĘ	16
O TYM, JAK AMBITNY PROGRAM ANTYCHRZEŚCJAŃSKI PROWADZI DO PIERWSZEGO ZABÓJSTWA....	20
O TYM, JAK ANTY-APOSTOŁ ROZPOCZYNA SWOJĄ PRACĘ I ODCZUWA SZCZEGÓLNĄ NIENAWIŚĆ DO SUTANNY	23
O TYM, JAK BOHATER WYSTAWIA NA PRÓBĘ TAJEMNICĘ SPOWIEDZI	27
O TYM, JAK AMBITNY CZŁOWIEK UWAŻAJĄCY SIĘ ZA NAJSILNIEJSZEGO SPOTYKA „KRUCZOWŁOSĄ” I ZACZYN	32
O TYM, JAK MOJA ANTYRELIGIJNA GORLIWOŚĆ PRAGNIE WCIĄGNĄĆ „KRUCZOWŁOSĄ” DO SWEGO ORSZAKU	37
O TYM, JAK ZWYKŁY MEDALIK ODGRYWA TAKĄ ROLĘ	40
O TYM, JAK DZIEŁO DESTRUKCJI WYDAJE SIĘ CZYNIĆ WIELKIE POSTĘPY, POMIMO NAPOTYKANIA NA DZIECINNIE ŚMIESZNE OPORY	44
O KATECHIZMIE ROKU 2000 I BIEDNYM, ALE ŻARLIWYM STUDENCIE.....	49
O TYM, JAK APOSTOLSKIE WYZNANIE WIARY I SIEDEM SAKRAMENTÓW ZOSTAJE PODDANYCH SUROWEJ KRYTYCE	52
O TYM, JAK OFIARA PONIESIONA PRZEZ BLISKĄ OSOBĘ WYDAJE SIĘ ZOSTAĆ POCHŁONIĘTA PRZEZ RWĄCY NURT.....	60
KONIEC.....	67

MODLITWA DO DUCHA ŚWIĘTEGO

Boże Duchu Święty, słodka miłości Ojca i Syna, – aby całkowicie należeć do Ciebie, oddaję Ci teraz i na zawsze moje serce, moje myśli, ciało i duszę, moje siły i zdolności, moje cierpienia i radości moje, życie i śmierć. Oddaję Ci też wszystkich, którzy są mi drodzy i wszystko, czym jestem i co posiadam, abyś Ty sam mógł tym rozporządzać i panować nade mną swoją miłością – teraz i w wieczności Amen.

(Źródło: Opracowanie tekstu dokonano na podstawie materiałów dostępnych na stronie internetowej Echo Chrystusa Króla)

Wstrząsająca opowieść komunistycznego agenta, o działaniach, które prowadził po wstąpieniu do Polskiego Seminarium w 1938r i działalności kapłańskiej niszczyielskiej wewnątrz kościoła katolickiego.

Ujawnia on cele, jakie wyznaczono agentom komunistycznym działającym wewnątrz Kościoła katolickiego. Posiada numer; 1025 co świadczy, o ilości agentów kapłanów w momencie zwerbowania. Ma za zadanie zniszczyć Kościół Katolicki od wewnątrz poprzez zniesienie łaciny, ozdób kapłańskich, obrazów, posągów, odejście od ołtarzy a zastąpienie zupełnie pustym stołem, porzucenie wszelkich Krzyży, aby Chrystus był uznany za człowieka a nie za Boga". Msza ma być tylko wspólnym posiłkiem".

ROZDZIAŁ 1

O TYM, JAK CZŁOWIEK BEZ IMIENIA PRAGNIE WYJAWIĆ NAJWIĘKSZĄ TAJEMNICĘ SWOJEGO ŻYCIA

2010-04-07

Sam zastanawiam się, skąd u mnie ta ochota, by spisać wspomnienia. To raczej osobliwe. Zdaje mi się, że sięgam po pióro, gdyż robię to w snach, a następnie odczuwam rodzaj przymusu - tak przynajmniej sobie wyobrażam - aby nie przerywać w świetle dnia. Ale to nie ma znaczenia - i tak nikt nie będzie czytał tych pamiętników. We właściwym czasie sam je zniszczę.

Jestem człowiekiem bez imienia, nie mam rodziny, pochodzę znikąd, nic po sobie nie zostawię. Jestem jednym z tych, którymi pogardzają burżuje i biurokraci. To cała przyczyna mojego głupiego cierpienia, do którego przyczynili się także ci, którzy pragnęli mojego dobra. Gdybym tylko wiedział, jakie szczęście może z tego wyniknąć. Byłem jednak wówczas zbyt młody, by choćby domyślać się, na jakie wyżyny może mnie wynieść moja młodzieńcza niedola.

Na samym początku byłem małym, bezimiennym chłopcem. Musiałem mieć trzy lata. Płacząc, wlokłem się po jakiejś drodze. Był rok 1920 w Polsce. Mogę zatem przyjąć, że urodziłem się w 1917 roku, nic jednak nie potrafię powiedzieć o miejscu urodzenia i o rodzicach. Zdaje mi się, że w tym wieku nie potrafiłem jeszcze dobrze mówić po polsku, może znałem kilka rosyjskich słów. Nie sądzę, abym potrafił się choćby przywitać po niemiecku. Kim byłem? Nie potrafiłem nawet wymówić własnego nazwiska. Miałem przecież imię, gdy ktoś je wypowiadał odwracałem spojrzenie w jego kierunku.

W przyszłości musiałem się zadowolić imieniem wybranym przez przybranych rodziców. Nawet dziś, po pięćdziesięciu latach, oblewa mnie fala gniewu, który przez ten czas może zelżał, ale wciąż jest żywy, gdy pamięć przywoła Doktora i Panią X _____. Byli dobrzy, hojni, nawet wielkoduszni. Nie mieli własnych dzieci i mnie przygarnęli. Wierzę nawet, że kochali mnie bardziej niż kochaliby własne dziecko. Ich miłość była większa, gdyż wyciągnąłem ich z rozpacz, w którą wtrąciła ich bezpłodność.

Myślę, że dla nich byłem darem niebios. Sądzę tak, gdyż byli ludźmi bardzo pobożnymi i wszystko, co się im przytrafiało, przyjmowali jako boski wyrok. Mnie, oczywiście, uczyli, abym postępował w ten sam sposób, jak gdyby to była gra. Ich cnota była tak wielka, nigdy nie słyszałem, by źle o kimś mówili.

Gdy znaleźli mnie błakającego się po ulicy byli wciąż młodzi, musieli mieć około 35 lat. Byli bardzo pięknymi ludźmi i szybko zacząłem odbierać urok niemalże przesadnej miłości, jaka ich łączyła. Kiedy na siebie spoglądali, po czym odwzajemniali pocałunek, pod wpływem przyjemnych uczuć zanurzałem się szczęściu. Byli *moim* ojcem i *moją* matką. Z młodzieńczą żarliwością odmieniałem ten zaimek. Szczególnie moja matka okazywała mi wylewną miłość, która wręcz powinna mi się wydawać nieznośna, lecz z niewiadomych powodów jej tak nie odczuwałem. Byłem z natury spokojny i staranny. Nie sprawiałem kłopotów. Nie, żebym był mało męski. Umiałem się bić, co nie znaczy, że przemoc sprawiała mi przyjemność, lub że miałem zły charakter.

Moi rodzice, szczególnie matka, byli przekonani, że mam dobry charakter, lecz nie zauważali, że jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności moja wola podąża wydeptaną przez nich ścieżką. Byłem wyjątkowo ambitny i to bardzo się im we mnie podobało. Chłopcu nic więcej nie jest potrzebne.

W roku, w którym kończyłem czternaście lat, byłem już wyróżniającym się uczniem i rodzice postanowili, że pojedę zwiedzić Paryż i Rzym. Byłem tak szczęśliwy, że usiłowałem ograniczyć sen, który wydawał mi się stratą czasu. Chciałem przygotować się do wycieczki, czytałem o obu tych miastach, niejako na wyrost.

Pewnej nocy, kiedy powieki wypowiedziały mi posłuszeństwo i nie chciały pozostać otwarte, przyszło mi do głowy, że mój ojciec musi mieć jakiś rodzaj środka odpędzającego sen. Aby go zdobyć, na czubkach palców zakradłem się do salonu. W przyległym pokoju toczyła się rozmowa o mnie. Rodzice martwili się sprawą mojego paszportu powtarzając, że *nie jestem ich synem*. To było jak piorun z jasnego nieba, jeśli wiecie, co mam na myśli. Przynajmniej powieściopisarze używają tego kreślenia w podobnych okolicznościach.

Mogę tylko powiedzieć, że było to coś znacznie gorszego i zwykła mowa nie dysponuje wystarczającym zasobem słów, by wyrazić taką odrazę. Ból, który się wówczas pojawił, miał wszystkie cechy pozwalające go nazwać niezmiernym i przyrównać do noworodka. Tak jak nowonarodzone dziecko rósł i stawał się silniejszy, choć jego ofiara nie była tego świadoma.

Wiele razy życzyłem sobie śmierci, moje serce wydawało się nawet skłonne spełnić to życzenie. Jakże szybko biło, podczas gdy cała reszta mnie sprawiała wrażenie przemienionej w granit. Gdy serce odzyskało swój normalny rytm, znów mogłem się poruszać. Czułem ból w najdalszych krańcach ciała. Wcześniej nie znałem bólu i dlatego jego pierwsze doznanie było tak wszechogarniające, że przez pewien czas sprawowało władzę nade mną. Mój ból rozkazał mi wyjechać i tak zrobiłem od razu nic nie zabierając ze sobą. Podobałoby mi się wówczas, gdybym wychodząc był nagi, gdyż nie miałbym niczego, co zawdzięczam tym ludziom.

Bo zawsze byli i są jacyś „tamci ludzie”. Nienawiść, którą do nich czułem, była równie intensywna jak miłość, którą mnie obdarzali. Nigdy im nie wybaczę, że zawsze mnie okłamywali, nawet jeśli rzeczywiście szczerze mnie kochali.

Z zasady nigdy nie wybaczam. Gdyby kierowała mną logika powinienem być im wdzięczny - to dzięki nim jestem dziś jednym z najgroźniejszych tajnych agentów. Stałem się osobistym wrogiem Boga, kimś, kto postanowił nauczać i ogłaszać wszem i wobec, że Bóg nie żyje, a tak naprawdę nigdy nie istniał.

Ból kazał mi uciec aż do Władystoku. Tak właśnie postąpiłem. Ale po kilku tysiącach minut, mimo że byłem silnym chłopakiem, musiałem oprzeć się o mur by złapać oddech. Jednak mur stał się chmurą i zsunąłem się po nim na ziemię oszołomiony. W tym samym czasie odległy głos powtarzał: „Och, biedny chłopiec!”. Odwróciłem się z zamiarem uduszenia kobiety, próbującej okazać mi macierzyńskie uczucia.

Mój zamiar został jednak pohamowany przez silną odrazę. Nigdy bym nie tknął, nawet opuszką palca, skóry tak odrażającej osoby. Chciałem coś powiedzieć, ale się zakrztusiłem. Dwie kobiety próbowały wlać we mnie alkohol, ale ja go wypłułem i w mgnieniu oka zasnąłem.

Obudziło mnie dopiero jasne światło południa. Kobieta siedząca w nogach łóżku patrzyła na mnie. Więc to ona mnie przyniosła. To mogła być ta sama kobieta, tylko teraz nie miała makijażu.

- Jesteś dziś mniej odrażająca niż ostatniej nocy - powiedziałem, ale ona odrzekła spokojnie: - Niż przedwczoraj.

Pewnie dlatego byłem taki głodny. Poprosiłem o coś do jedzenia, ponieważ przeznaczeniem kobiet jest karmić mężczyzn. Mogłem jej od razu oznajmić, że niczego poza tym od niej nie chcę. Muszę przyznać, że przyniosła całe stosy dobrych rzeczy.

Zacząłem mięknąć, gdy powiedziała: - Uciekłeś z domu. Nazywasz się (tu wymieniła moje nazwisko).

Milczałem czekając, co się zdarzy.

- Mogę pomóc ci dostać się do Rosji - dodała.

- Skąd wiesz, że chcę się tam dostać?

- Mówiłeś przez sen.

- Stąd też znasz moje nazwisko?

- Nie. Twoje imię znam z gazety. Twoi rodzice błagają cię, byś wrócił. Obiecują, że nie zrobią o to awantury.

- Ja nie mam rodziców.

Musiła zrozumieć, że postanowiłem nie wracać, ponieważ odpowiedziała:

- Mam krewnych w Rosji. Mogę ci pomóc, mogę ci pomóc przekroczyć granicę.

To było dla mnie jak błysk światła. Spytałem ją, czy zgodzi się zanieść list do mojego przyjaciela, który wróci ze szkoły około południa. Robiła wrażenie osoby szczęśliwej, że może coś dla mnie uczynić.

Przygotowałem krótką zakodowaną wiadomość. Na szczęście mieliśmy taki zwyczaj, o którym nikt nie wiedział. To, co do tej pory było dla nas jedynie rozrywką, okazało się niezwykle poręczne w tych dramatycznych okolicznościach.

Ów znajomy był bogaty, a jego rodzice rozpieszczali go niemożliwie dając mu więcej pieniędzy niż potrzebował.

Miałem nadzieję, że tego dnia będzie miał ze sobą sporą kwotę oszczędności przeznaczonych na zakup czegoś kompletnie zbytecznego.

Wiedziałem, że przyjaźń, jaką dla mnie żywił - chciałem powiedzieć, jaką dla siebie żywiliśmy - była ważniejsza niż cokolwiek innego i że wyśle mi wszystkie pieniądze, które będzie miał, tym bardziej, że nie kryłem przed nim swego zamiaru przedostania się przez granicę do Rosji - kraju, który podziwiał za odwagę. Tak naprawdę, to nie mogąc dogadać się z ojcem, wybierał Rosję, jako kraj swojej matki.

Wiedziałem także, że chociaż mi zazdrościł, prędzej by umarł niż przyznał się, że ma jakiekolwiek informacje dotyczące mojego zniknięcia. Pamiętałem nawet, że jego wujek był urzędnikiem w Leningradzie. Poprosiłem go o adres tego krewnego i krótką rekomendację.

Kiedy kobieta była już gotowa do drogi dopisałem *post scriptum*: „**Zamierzam wstąpić do Partii i stać się w niej kimś wielkim**”. To miała być moja zemsta. Kobieta stała przed drzwiami domu mojego przyjaciela aż do jego powrotu ze szkoły. Na szczęście tego dnia pojawił się o drugiej.

Potem przyjął ją i dał jej paczkę dla mnie, która zawierała długi zakodowany list do mnie, krótki list do wuja oraz miły zwitek pieniędzy. Rzeczywiście równy gość!

Z łatwych do odgadnięcia przyczyn, nie będę się rozpisywał o sposobie przekroczenia granicy i o tym, jak znalazłem się w Leningradzie.

Choć z drugiej strony moja pierwsza wizyta u wuja miała niepowtarzalny charakter i należy do momentów, które głęboko zapadły mi w pamięć. Dlatego czasami dla rozrywki przywołuję je i przeżywam na nowo.

Zignorowałem stanowisko zajmowane przez wuja w administracji i postanowiłem być z nim całkowicie szczery. Sądziłem, że lepiej będzie odegrać całkowitą szczerość przed tym wyjątkowym człowiekiem, jeśli chciałem osiągnąć upatrzoną pozycję.

Wydaje mi się, że on zrozumiał mnie doskonale już w czasie tej pierwszej wizyty i że przypadłem mu do gustu.

Wuj powiedział mi, że najpierw będę musiał przestudiować doktrynę partii i nauczyć się języków.

Wszystko miało zależeć od mojej pilności. Upewniłem go, że we wszystkim zawsze będę pierwszy i wkrótce stanę się mądrzejszy od swoich profesorów.

Dobrze mieć kogoś, przed kim można być sobą, takim, jakim się jest naprawdę. Wuj był dla mnie jedyną taką osobą. Powiedziałem mu o tym. Pochlebiło mu to, choć odpowiedział lekko ironicznym uśmiechem.

Byłem wtedy niewątpliwie silniejszy od niego a on czuł falę radości, jaka przeze mnie przepływała po raz pierwszy od chwili ucieczki. Nie trwało to długo, ale tak czy inaczej uznałem to za dobry znak.

Przez sześć lat zawzięcie studiowałem. Jedyną moją rozrywką była wakacyjna wizyta u wuja. Radość czerpałem również z uczucia nienawiści do Boga i pewności, że wkrótce stanę się niekwestionowanym przywódcą Światowego Ateizmu.

ROZDZIAŁ 2

O TYM, JAK ODKRYWAMY, ŻE NIESZCZĘŚCIA WZMACNIAJĄ CZŁOWIEKA

Wujek był moim jedynym przyjacielem, jedynym człowiekiem, który mnie naprawdę znał. Całą resztę pragnąłem uznać za nic nieznaczącą i łatwo udało mi się to osiągnąć.

Nie interesowały mnie kobiety, mogę nawet powiedzieć, że odczuwałem do nich pewną niechęć, a co za tym idzie także do idiotów, którzy zbyt się w nich kochali. Moją determinację do nauki w dużej mierze wzmacniała zdumiewająca umiejętność zapamiętywania. Nawet po jednorazowym, uważnym przeczytaniu książki znałem ją na pamięć, nawet jeśli napisana była pretensjonalnym stylem.

Miałem przy tym także zdolność zachowywania w pamięci jedynie rzeczy wartościowych. Moja wybitna inteligencja pozwalała mi zapamiętać jedynie najszczytniejsze idee, dzięki niej potrafiłem dokonać krytyki nawet największych profesorów. Upodobanie do doktryn ateistycznych, które leżały u podstaw Partii, wzmacniało moją gorliwość, która i tak była bezbrzeżna.

Pod koniec sześciu lat, wytężonych studiów wujek zawezwał mnie do biura. Wcześniej zawsze przyjmował mnie w swoim domu. Tego dnia zauważyłem, że był wysoko postawionym oficerem policji, co zresztą od dawna zdawało mi się, że wiedziałem.

Złożył mi propozycję, która mogła, jak sądził, mnie zniechęcić. Powiedział: - Teraz zamierzam posłać cię, abyś poznał w działaniu waleczny, międzynarodowy ateizm. Będziesz musiał zwalczać wszystkie religie, ale szczególnie katolicyzm, który jest najlepiej zorganizowany. Aby być skutecznym wstąpisz do seminarium i zostaniesz rzymskokatolickim księdzem.

Moją odpowiedzią była chwila ciszy, w czasie której pozwalałem cichej radości rozlewać się w moim ciele, zachowując przy tym pozorną obojętność. Wujek był zadowolony i tego nie ukrywał. Tym samym tonem ciągnął dalej: - Żeby wstąpić do seminarium wrócisz do Polski, pogodzisz się ze swoimi przybranymi rodzicami i przedstawisz się biskupowi.

Przez moment odczuwałem narastającą we mnie falę buntu. Od początku znajomości w wujkiem była to pierwsza chwila, gdy straciłem panowanie nad sobą. Wujek robił wrażenie zadowolonego i rozbawionego moją reakcją.

- Więc nie jesteś zrobiony całkowicie z marmuru.

Ta uwaga doprowadziła mnie do wściekłości i odpowiedziałem sucho: - Jestem i będę jak z kamienia bez względu na wszystko."

Na twarzy wujka widać było rozluźnienie i uśmiech, zupełnie jakby moja kariera, powołanie i przyszłość (a zatem i przyszłość Partii) nie zależały zupełnie od podjętej tego dnia decyzji.

- Marmur to piękna rzecz, szczególnie użyteczna, gdy ktoś chce zostać tajnym agentem. Ale w tym wypadku jest konieczne, byś swoim przybranym rodzicom okazał najgorętsze przywiązanie.

Poczułem się jak tchórz i zapytałem tonem pełnym żalu: - Przez sześć lat seminarium?

Wujek odpowiedział z surowością, jaką okazuje się winowajcy: - A gdybym odpowiedział twierdząco, jak ty byś odpowiedział?

Przyszło mi do głowy, że z łatwością mógłbym zadeklarować podporządkowanie się. Ze zdziwieniem odczułem również, że jestem sprytniejszy od niego. On tymczasem nie przestając się uśmiechać powiedział: - Tak, nie byłeś w stanie ukryć, że uznałeś mnie za głupca, który naiwnie odkrywa swoje zamiary.

Zarumieniłem się, co nigdy mi się nie zdarza.

Dodał: - Tajny agent nie ma krwi w żyłach, nie ma serca, nikogo nie kocha, nawet siebie samego. Jest rzeczą w rękach Partii, i ona może go pożreć żywcem bez ostrzeżenia. Dobrze to sobie zapamiętaj. Kimkolwiek będziesz, będziemy cię stale obserwować i przy najmniejszym braku rozwagi pozbędziemy się ciebie. Musisz dobrze zrozumieć, że jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie, nawet gdyby stało się to nie z twojej winy, nie możesz na nas polegać. Wyprzemy się ciebie.

Odparłem: - Wiem o tym dobrze, ale nigdy nie kryłem przed tobą nienawiści do nich.

- Nienawiść, poza nienawiścią do Boga, jak pisze Lenin, nie jest częścią naszej służby - odparł.

- Chcę, aby zaakceptował cię biskup twojego rodzinnego kraju, Polski. Ale nie chcemy, abyś odbywał swoje studia teologiczne w tym kraju. Nie, zostaniesz posłany do kraju po drugiej stronie Atlantyku, ale to poufne i będziesz musiał udawać zaskoczenie, gdy takie polecenie zostanie ci wydane. Tak, obawiamy się, że zostaniemy wciągnięci w wojnę w Europie przez głupca rządzącego w Niemczech. Z tego powodu wydaje nam się, że rozsądniej będzie posłać cię na

studia gdzie indziej, powiedzmy do Kanady. Mamy także inny powód: reguła seminariów w Europie jest znacznie surowsza niż w Ameryce.

Uczyniłem zupełnie niedostrzegalny gest protestu, który został od razu zdemaskowany. Wujek mówił dalej: - Wiem, że potrafiłbyś wytrwać sześć lat w surowych warunkach europejskiego seminarium nawet nie opuszczając jego murów, ale nie w tym rzecz. Chcemy, byś zobaczył, co dzieje się na świecie. Poza tym dobrze jest mieć umiejętność przemawiania do świata tak, by stracił on wiarę, i to w przemawiania w taki sposób, by nawet nie podejrzewał, do jakiego zmierzasz celu. Posyłanie młodych ludzi do seminarium w taki sposób, że zostaliby zdemaskowani, byłoby zupełnie bez sensu. Nie, będziesz księdzem aż do śmierci, i będziesz się zachowywał jak pobożny i karny sługa Kościoła. Poza tym wiem, że jesteś intelektualistą.

Następnie udzielił mi szczegółowych instrukcji, co do operacji i służby, którą miałem zamiar rozpocząć i którą miałem nadzieję kontynuować aż do końca swoich dni.

Gdy tylko znalazłem się w seminarium kazano mi odkryć sposób, dzięki któremu można by zniszczyć wszystko, czego mnie tam uczono. Ale aby to zrobić musiałem z uwagą i pełnym wysiłkiem intelektu, a więc bez namiętności, poznać historię Kościoła. Szczególnie dobrze uświadomiłem sobie, że prześladowania jedynie dostarczają katolikom męczenników, by wierni wyznawcy mogli mówić o nich, że są zasiewem boskim. Zatem: żadnych męczenników. Nie mogą zapominać, że wszystkie religie oparte są na lęku, na przedwiecznym lęku, z którego się zrodziły. Zatem jeśli zdusisz ten lęk, zdusisz też religie.

Ale to nie wystarczy. „To zależy od ciebie”, powiedział wujek, „Ty odkryjesz właściwe metody.” Nie posiadałem się z radości. „Będziesz pisał do mnie, co tydzień krótkie wiadomości zawierające wszystkie slogany, które będziesz chciał rozpowszechnić w świecie, wraz z krótkim wyjaśnieniem przyczyn, dla których je wybrałeś. Po jakimś czasie, krótszym lub dłuższym, zostaniesz zaangażowany do bezpośrednich działań w ramach naszej sieci. To znaczy, że będziesz miał do dyspozycji dziesięć osób, z których każda również będzie wydawać polecenia innej dziesiątce podkomendnych.”

Dziesięć osób, które będą pod twoimi rozkazami nie będzie cię znało. Aby się z tobą skontaktować będą korzystali z mojego pośrednictwa. Wszystko po to, by nikt nie mógł na ciebie donieść. Mamy w swojej służbie już wielu księży w krajach gdzie rozkrzewił się katolicyzm, ale oni nie wiedzą o sobie nawzajem. Jeden z nich jest biskupem. Może uda ci się z nim skontaktować, ale to zależy od tego, jaki

stopień zdobędziesz. Nasi szpiedzy są wszędzie, a szczególnie wielu jest w prasie na całym świecie. Od nich będziesz otrzymywał regularnie krótkie podsumowanie, dzięki któremu będziesz wiedział, czy twoje idee znalazły drogę do ludzkich umysłów. Zrozum, Idea jest dobra wtedy, gdy jakiś idiota trudniący się pisaniem książek przedstawi ją, jako własną. Nikt nie jest bardziej przebiegły od pisarzy. Polegamy na tych mistrzach słowa i nie musimy ich szkolić. Oni i tak pracują dla nas nawet o tym nie wiedząc, czy nawet tego nie chcąc.

Spytałem go, jak się z nim skontaktuję, jeśli wybuchnie wojna. Wszystko było przygotowane z wyprzedzeniem. We właściwym czasie miałem otrzymać list z wolnego kraju niezagrożonego wojną.

Autentyczność tego listu potwierdzić ma sekretny tytuł: AA-1025. AA - znaczy Anty Apostoł, po czym wnosilem, że cyfra 1025 była numerem kolejnego noszącego ją podkomendnego. Ku własnemu zaskoczeniu wujek potwierdził moje przypuszczenie. Aż krzyknąłem:

- 1024 księży i kleryków poszło tą drogą przede mną!

- Tak jest - odparł chłodno. Nie byłem zniechęcony, lecz wściekły i urażony.

Chętnie udusiłbym tamtych 1024 ludzi, ale spytałem tylko; - Czy naprawdę potrzeba aż tylu?

Wujek tylko się uśmiechnął. Wiedziałem dobrze, że wszelki wysiłek, by ukryć własne myśli, był bezcelowy. Dodałem więc z żalem: - Wygląda na to, że nie wykonali wystarczająco dobrze swojego zadania, skoro ciągle rekrutujecie nowych ludzi.

Ale on nie zaspokoił mojej ciekawości. Pragnąłem przynajmniej z kilkoma z nich nawiązać kontakt. Wujek jednak zapewnił mnie, że nigdy nie poznam ani jednego. Nie rozumiałem. Czułem się rozbity. Zapytałem: - Jak można wykonać tę pracę dobrze, skoro jesteśmy rozproszeni bez koordynacji działań i wewnętrznej konkurencji?

- Co do koordynacji to nie martw się, zajęliśmy się tym, lecz jedynie wyżsi stopniem wiedzą jak to działa. Jeśli zaś chodzi o rywalizację, niech ci wystarczy miłość do Partii. Nic więcej nie mogłem powiedzieć. Czy miałem stwierdzić, że Partia nie dostrzeże prawdziwej wartości ateizmu, dopóki ja nie stanę na czele służb? Byłem o tym tak głęboko przekonany, że wszystkich 1024 swoich poprzedników sprowadziłem do roli widzów, którzy wprawdzie kupili bilety, ale nie przyszli na przedstawienie.

O TYM, JAK DUMA ZOSTAJE WYWYŻSZONA, JAKO DOMINUJĄCA CECHA I NAJBARDZIEJ ZASZCZYTNA

2010-04-22

Po tym pamiętnym wieczorze wujek zaprosił mnie, abym zapoznał się z niektórymi tajnymi i naprawdę pasjonującymi dokumentami. Choć te pamiętniki nigdy nie zostaną opublikowane pragnę zachować przyzwoitość i dlatego nic więcej o tych papierach nie powiem. Znam ludzi, którzy nawet dziś daliby fortunę, by móc je sfotografować. Gdy o tym pomyślę, chce mi się śmiać. Gdyby tylko można było skonstruować maszynę zdolną odczytać moją pamięć. W tym samym tygodniu przyswoiłem sobie pewną liczbę adresów i numerów telefonów na całym świecie.

Wszystkie te środki bezpieczeństwa oznaczały, że jesteśmy o krok od wojny. Niecierpliwie pragnąłem wyjazdu z Europy, ponieważ moja śmierć, czy chociażby upadek mojego ducha wywołany wydłużającą się służbą wojskową, mógł zagrozić dobru ludzkości.

Wujek zaprosił mnie do swojego biura, aby omówić bieżącą politykę międzynarodową, ale nie byłem zbyt zainteresowany tym tematem. Wujek miał do mnie o to pretensje, twierdził, że ateizm jest tylko odgałęzieniem szerokiego nurtu polityki. W głębi ducha wciąż uważałem ateizm za sprawę najważniejszą. Mogłoby się zdawać, że wujek słyszał moje myśli, skoro dodał:

- Tak, masz rację uważając ateizm za coś niezwykle istotnego, za rzecz podstawową, ale wciąż masz przed sobą sporo nauki w tej kwestii.

- Przytaknąłem z nieczystym sumieniem doskonale pozorując zgodę. Ciągłe udając nieporuszonego dodałem: - Nie mniej jednak myślę, że potrafię nadać właściwy kierunek walce, którą mamy podjąć.

Promień zadowolenia przeszedł po twarzy wujka. To mogło mieć miejsce tylko, dlatego, że - jak wierzyłem – mnie kochał. Przez moment gapiałem się na niego odrobinę zbuntowany. Powiedział: - Mów zwięźle.

Czegoż więcej potrzebowalem? Zacząłem więc bardzo spokojnie: - Zamiast zwalczać sentymenty religijne, powinniśmy ich bieg skierować ku utopii.

Milczał, próbował przetrwać mój pomysł, w końcu się odezwał: - Dobrze, podaj przykład.

Nadszedł mój moment.

W istocie wydawało mi się, że cały świat był w tym momencie w moich rękach. Spokojnie tłumaczyłem: - Należy w umysłach ludzi, szczególnie w głowach wysokich urzędników kościelnych, zasiać ideę poszukiwania, za wszelką cenę, pierwiastków uniwersalnych, swego rodzaju powszechnej religii, w którą wszystkie stare wiary by się przetopiły. Aby tego dokonać, by ten plan mógł się ziścić, trzeba przekonywać pobożnych ludzi, szczególnie gorliwych katolików, że powinni mieć poczucie winy, że uważają swoją wiarę za jedyną prowadzącą do prawdy.

- Nie sądzisz, że druga część twojej propozycji sama jest rodzajem utopii?

- Nie, skądże - odparłem żywo - Sam byłem katolikiem, gorliwym i pobożnym, aż do czternastego roku życia. Wydaje mi się raczej prostym zadaniem przekonać katolików, że ludzie święci są także wśród innych wyznań, wśród protestantów, muzułmanów, żydów i wszystkich pozostałych.

- Dobrze, zgódźmy się na to, a jaki sentyment jest słabym punktem innych religii?

- To zależy, ale wciąż muszę się wiele dowiedzieć o tym aspekcie swojej misji. Dla mnie jednak najistotniejsze jest celne i głębokie uderzenie w Kościół Katolicki. On jest najbardziej niebezpieczny.

- A jak sobie wyobrażasz ten uniwersalny kościół, do którego miałyby zmierzać wszystkie religie? - To bardzo proste. To nawet nie może być inne niż proste. Aby wszyscy mogli do niego przystąpić idea Boga musi być w nim nieokreślona, ma on być trochę stwórcą, mniej lub bardziej dobrym, zależnie od okoliczności. Poza tym, ten bóg byłby użyteczny w okresach wielkich nieszczęść i klęsk, kiedy prymitywny, odwieczny lęk każe ludziom odwiedzać świątynie, które w innych czasach pozostają puste.

Wujek przez dłuższą chwilę rozważał mój pomysł. - Obawiam się, że kler katolicki szybko zorientuje się w niebezpieczeństwie i stanie się wrogiem twojego planu.

- Tak działo się do tej pory - odparłem ostro - ponieważ moją ideę prezentowali ludzie spoza Kościoła, a katolicy mogli zawsze temu programowi zamknąć drzwi. Z tego powodu szczególnie chciałem uczyć się, w jaki sposób sprawić, by zmienili zdanie. Wiem, że to nie będzie trudne, że trzeba będzie włożyć wiele pracy, nawet dwadzieścia lub pięćdziesiąt lat, ale ostatecznie się uda.

- Jakimi środkami?

- Środki są liczne i skomplikowane. Kościół Katolicki wyobrażam sobie, jako kulę, aby ją zniszczyć trzeba zaatakować w wielu miejscach tak, aby straciła swój kształt i stała się czymś innym. Trzeba być cierpliwym. Przychodzi mi do głowy wiele

sposobów, które na pierwszy rzut oka mogą się zdawać dziecinne i nieskuteczne, ale jestem przekonany, że jako całość dzięki swej dziecinnej naiwności tworzą niewykrywalną broń o niezwyklej skuteczności.

- Cóż, będziesz musiał mi przygotować krótki plan swojego projektu.

Powoli, otworzyłem przyniesioną z domu teczkę i wyjąłem z niej kopertę zawierającą cenne opracowanie mojego planu. Z niewidocznym zadowoleniem położyłem ten dokument przed sobą na biurku. Nigdy nie miałem nawet cienia nadziei, że wujek przeczyta to od razu, a tak właśnie uczynił. Przekonało mnie to, że pokładane są we mnie wielkie nadzieje. Stary człowiek nawet nie przeczuwał, jak bardzo były one uzasadnione.

Lektura zajęła mu więcej czasu, niż było konieczne, potem spojrzał na mnie i powiedział: - Muszą się temu przyrzyć jeszcze moi doradcy. Spotkamy się o tej samej godzinie za osiem dni. W tym czasie przygotuj się do drogi do Polski. Weź to.
- Powiedział, podając mi kopertę hojnie wypełnioną rublami, musiało tam tego być więcej niż kiedykolwiek miałem w swoim życiu.

Odwiedziłem sporo teatrów, byłem na kilku filmach w kinie. Kupiłem sporo książek, choć nie wiedziałem, jak je przetransportować do Polski. Sądziłem, że może wujek znajdzie jakiś sposób, by przesłać je pocztą dyplomatyczną.

Przez tych osiem dni żyłem w stanie takiego podniecenia, że prawie nie odczuwałem potrzeb swojego ciała, nie mogłem wręcz spać.

Zacząłem zadawać sobie pytanie (po raz pierwszy w życiu), czy nie powinienem poznać jakiejś kobiety. Ale w stanie umysłowego uniesienia, w jakim się wówczas znajdowałem, uznałem, że nie jest to rzecz godna uwagi. Obawiałem się nawet, że taka zwierzęco niska czynność może przynieść pecha projektowi, który w tym samym czasie był przedmiotem dyskusji najwyższych władz tajnych służb. Czyż nie to ważniejsze od wszystkiego innego, że to ja, tu i teraz, miałem awansować o wiele stopni, stanąć ponad owymi 1024 poprzednikami? Któż mógłby być tego równie godnym jak ja?

Pewnej nocy próbowałem się odurzyć alkoholem, by sprawdzić, czy dostarcza to jakichś użytecznych impulsów. Ale nic z tego nie wyszło i mogę tylko zaświadczyć, że alkohol jest bardziej szkodliwy niż religia - a to już sporo.

Gdy przyszedł czas, by znów pojawić się w biurze wuja, serce biło mi szybciej niż zwykle, ale to nie było nieprzyjemne. Ważne było, aby nikt tego nie zauważył. Wujek przyglądał mi się dłuższy czas, a potem powiedział, że jego przełożony pragnie mnie poznać.

Zdawałem sobie sprawę, że tak wysoki urzędnik nie fatygowałby się tylko po to, by wyrazić swoje niezadowolenie, więc byłem pod wrażeniem tego zaproszenia. Z drugiej jednak strony byłem przerażony widokiem i aurą owego sławnego „przełożonego”.

Przerażony to dobre słowo. Trzydzieści lat później wystarczy, że zamknę oczy by znów go zobaczyć i odczuć jego obecność.

W jego „obecności” wszyscy pozostali robili wrażenie marionetek.

Ciągle nie lubię tego uczucia, ale muszę wyznać, że jego „obecność” robi na mnie wrażenie obcowania z potworem.

Jak w jednej osobie może zebrać się naraz tyle brutalności, surowości, skłonności do podstępu i sadyzmu, do tego jeszcze jakaś wulgarność? To był z pewnością typ człowieka, który by się rozerwać jedzie do więzienia przyglądać się torturom. Ja niestety brzydzę się okrucieństwem, co niewątpliwie dowodzi słabości. Skoro sam pogardzam wszelką słabością, jak mogę zaakceptować uniżoność, jaką okazywał mój wujek w obecności przyjmującej nas bestii? Ona sama zachowywała się jak wszyscy szefowie - najpierw dłuższy czas patrzył mi głęboko w oczy.

Co w nich chciał zobaczyć? Nie ma we nich nic do zobaczenia. „Nigdy w nich nic nie zobaczysz, Towarzyszu.” Pomyślałem z satysfakcją. Następnie przełożony zapytał mnie, na czym najbardziej mi zależy. Z łatwością odparłem: - Na zwycięstwie Partii - choć prawda była nieco bardziej skomplikowana. Ale czy ów przełożony nie miał za grosz bardziej złożonych myśli? To nie było możliwe.

Dodał więc, z lekka się ociągając: - Od dziś jesteś na liście naszych tajnych agentów. Co tydzień będziesz wydawał rozkazy. Polegam na twojej gorliwości. Przyznaję, że zniszczenie religii od wewnątrz zajmie wiele czasu, mimo to twoje rozkazy muszą znajdować oddźwięk przede wszystkim wśród pisarzy, dziennikarzy a nawet teologów. Chcę być dobrze zrozumiany. Dysponujemy całym zespołem ludzi, którzy obserwują publikacje na temat religii na całym świecie i dzięki temu wiemy, jaka jest skuteczność rozkazów wydawanych przez agentów takich jak ty. Zrób więc jak najwięcej aby nas zadowolić i osiągnąć sukces. Spodziewam się po tobie sporo, bo wydaje mi się, że sam już to wszystko rozumiałeś.

Zatem bestia nie była idiotą. Będzie słyszeć o mojej pracy. Byłem tego pewien. Zbyt dobrze poznałem słabe miejsca chrześcijan, by wątpić o swoim sukcesie w przyszłości. Owo słabe miejsce bywa nazywane „miłosierdziem”.

Wspominając owo świętoszkowate słowo można chrześcijaninowi wszczepić każdy rodzaj wyrzutu sumienia. A wyrzuty sumienia są stanem obniżonej odporności.

Natura tego stwierdzenia jest równocześnie medyczna i logiczna, mimo że te dwa aspekty nie robią wrażenia dobre pasujących. Mimo to pragnę je połączyć.

Oddałem honory przełożonemu w dostojny sposób i chłodno podziękowałem. Nie życzyłem sobie, by myślał, że zrobił na mnie wrażenie.

Znów byłem sam z wujkiem.

Powstrzymałem się od uczynienia jakiegokolwiek uwagi na temat owego sławnego przełożonego. Raczej winszowałem sobie, że owa osobistość była tak nieprzyjemna, co na przyszłość stanowiło najlepszą odtrutkę na uległość wobec wielkich tego świata. A zawsze dochodzę do przekonania, że ten był największym ze wszystkich wielkich!

O TYM, JAK ODGRYWANIE KOMEDII SKROMNOŚCI TRAFIA NA SKROMNĄ PRZESZKODĘ

2010-04-25

Wyruszając do Polski próbowałem się przekonać, że moja zdolność do pozorowania szczerości świadczyła o talencie aktorskim. W wieku dwudziestu jeden lat, po sześciu latach samotności, jako ubogi i ambitny student, miałem się znów stać kochającym, usłużnym, posłusznym i pobożnym człowiekiem - nawet więcej niż pobożnym, miałem wręcz usychać z pragnienia, by wstąpić do seminarium. Niezła rola jak na debiut.

Myślałem, że łatwiej będzie oszukać moją tak zwaną matkę. A co z doktorem? Naprawdę obawiałem się jego diagnozy. Był on prawdopodobnie jedynym w moim życiu człowiekiem, którego się bałem. Mimo to musiałem za wszelką cenę oszukać także jego. Mogłem oczywiście dostać się do seminarium bez jego pomocy, ale chciałem dowieść swojej siły.

Musiałem także zniszczyć wszelkie możliwe podejrzenia.

Doktor był dla mnie sprawdzianem własnej wartości.

Zadzwoiłem do „domu” o szóstej po południu, by być krótką godzinkę z nią, zanim on wróci. Drzwi otworzyła mi ona. Bardzo się postarzała i nie miała makijażu na twarzy. Wyglądała na chorą. Zaczęła się trząść, a potem płakać.

Najwłaściwszym miejscem dla kobiet jest harem, gdzie mężczyźni odwiedzają je jedynie wtedy, gdy to absolutnie niezbędne.

Poprosiłem o wybaczenie długiej ciszy mając nadzieję, że ten wyraz skruchy zostanie od razu przyjęty i zapomniany zanim doktor przyjdzie do domu.

Nie miałem pojęcia jak okazać po męsku skruchę wobec prawdziwego mężczyzny. Z nią zaś miałem nadzieję szybko przejść do radości ponownego przywitania i planów na przyszłość. Ponieważ ona nie miała większego marzenia niż pragnienie zobaczenia mnie w sutannie od razu zdradziłem jej moje niecierpiące zwłoki powołanie.

Biedna, ogłupiała kobieta była tak szczęśliwa, że gdybym tylko chciał, uwierzyłaby w cokolwiek bym powiedział. Chciała się dowiedzieć, skąd wziął się pomysł wstąpienia do seminarium.

Myślałem już wcześniej nad różnymi możliwymi wyjaśnieniami, ale odrzuciłem chęć ułożenia z wyprzedzeniem jakiegoś scenariusza tej sceny.

Ogólnie rzecz biorąc rzeczy przygotowane z premedytacją nie brzmią tak dobrze jak zmyślone pod wpływem chwili.

Wymyśliłem więc historyjkę o zjawie, która była w sam raz, by omamić tę kobietę. Wiedziałem, że doktor jest podejrzliwy względem tego typu spraw, ale ona miała słabość do mistycyzmu. Przy okazji chciałem ich podzielić i wzmocnić swoją pozycję. Kiedy będą o mnie rozmawiać, zostawią mnie samego.

Opowiedziałem jej, więc historyjkę o niebiańskiej zjawie, uważnie zapamiętując wszystkie detale, tak aby nigdy w przyszłości nie popełnić niekonsekwencji.

Czyż nie jest ironią, że udawałem, iż ukazał mi się święty Antoni Padewski? Czyż patron rzeczy zagubionych nie mógł zaopiekować się zagubionym dzieckiem?

Jest to zresztą tak popularny święty, że można mu przypisać niemal każdy cud - ludzie pobożni i tak będą go za to czcić. A więc pewnego razu odwiedził mnie święty Antoni Padewski trzymający małego Jezuska na rękach.

Równie dobrze, zamiast swojej opowieści, mogłem namalować prześliczny święty obrazek. Doktor przyszedł, kiedy „pławiliśmy się” w najbardziej cukierkowej pobożności. Trochę odetchnąłem widząc istotę rozumną wchodzącą do pokoju. Ale od razu spostrzegłem, że mi nie wierzy. Zatem gra była trudna, ale przez to jeszcze bardziej pasjonująca. Tylko ode mnie zależało, czy przekonam swojego przybranego ojca. Musiałem przynajmniej doprowadzić do tego, że będzie udawał, że mi wierzy. Jednak ten pierwszy wieczór był raczej przykry. Doktor należy do nielicznych rzeczywiście inteligentnych ludzi, jakich spotkałem w swoim życiu. Tym przyjemniejsza wydawała mi się „gra”.

Następnego dnia poprosiłem, abyśmy spotkali się z biskupem. Moja przybrana matka знаła go od dzieciństwa.

Przyjął nas uprzejmie, lecz bez entuzjazmu. Musiał należeć do tych katolików, którzy uważają, że należy próbować stawiać powołaniu przeszkody zamiast je rozniecać. Prawdziwe powołanie powinno przewyciężyć trudności.

Na szczęście spotkałem się już wcześniej z tym stanowiskiem i biskup nie był w stanie mnie rozdrażnić. Muszę jednak przyznać, że takie traktowanie może spowodować zmieszanie się osoby niemającej autentycznego powołania. Ja zaś dobrze wiedziałem, jak zachować się z iście chrześcijańską pokorą i było nie do pomyślenia, by biskup nie był ze mnie zadowolony.

Mimo tego zażyczył sobie, by mnie przedstawić proboszczowi mojej parafii i pewnemu zakonnikowi, który posiadał dar czytania ludzkich myśli. Ten bełkot miał po prostu znaczyć, że ów dobry człowiek był w stanie wykryć fałszywe powołanie, zarówno urojone, jak i wynikające ze zwykłej przewrotności.

Najpierw poszliśmy zobaczyć się z naszym proboszczem, prostym i odważnym człowiekiem, który pragnął, aby powołanie rozkwitło w jego parafii. Oddałby mi wszystko, co posiadał, aby móc ogłosić tę szczęśliwą wiadomość.

Chcąc wykorzystać swój święty entuzjazm i za jego sprawą zyskać w oczach doktora, poprosiłem przybraną matkę, aby zaprosiła tego kapłana na obiad. Było to zabawne - ksiądz ten miał duszę dziecka i w obecności tego jakże rzadkiego zjawiska, zarazem tak cennego w procesie kanonizacyjnym, doktor czuł się źle. Jakże może uczciwy chrześcijanin opierać się świętym?

W znacznie lepszym nastroju udałem się, więc do owego zakonnika, którego przenikliwość była tak wysoko ceniona. Na pierwszy rzut oka był to człowiek trudny do zniesienia powodu swojej ślamazarności i częstych okresów milczenia, które, zdawało się, sprawiają mu przyjemność.

Przy tym wszystkim pasowały do niego wszystkie stereotypy opisujące dobre powołanie na księdza. W głębi duszy śmiałem się, ponieważ skądże mógł ten człowiek przyjść do przekonania, że zdoła odkryć moje tajne myśli? I skąd w ogóle mogłoby mu przyjść do głowy, że ja mam jakieś ukryte zamysły? Nasza rozmowa się przedłużała, ale ostatecznie nawet nabrałem do niej zapału. Mówiłem z łatwością, słuchałem siebie z zadowoleniem.

Okazywałem, oczywiście, skromność najwyższej próby. Jest ona jedyną w swoim rodzaju cnotą tak łatwą do podrobienia. Była to zresztą zabawna gra. I stałem się mistrzem skromności, tak samo zresztą jak wielu innych rozgrywek.

Nie ośmieliłem się przyznać do rzekomego widzenia świętego Antoniego Padewskiego. Dzięki temu gdyby moja matka odkryła przed nim to

nadprzyrodzone wydarzenie, mógłby być podbudowany moim milczeniem na jego temat. Byłem dumny z siebie, informując go, że nigdy nie miałem żadnych związków z kobietami i że w ogóle nie byłem zainteresowany seksem, dobrym tylko, gdy służy prokreacji. Sądziłem, że to powinien być znak rozpoznawczy prawdziwego powołania.

Przyszło mi na myśl, że mogłem użyć słowa **powołanie** na określenie branży, którą wybrałem w szeregach Partii, a moja obojętność wobec kobiet była rodzajem przeznaczenia. Apostoł, czy też Antyapostoł, może poślubić tylko swoje Apostolstwo.

Stawałem się, więc niezwykle elokwentny, gdy tylko słowo „apostolstwo” przewijało się w naszej rozmowie. To, że stanę się bardzo gorliwym księdzem, musiało być od początku oczywiste. Ów zakonnik zastawiał na mnie liczne pułapki, szczególnie często usiłował zmusić mnie do kłamstwa. Co za dziecinada! Człowiek dziecinny wie, że nie może posługiwać się kłamstwem, lub musi robić to wyjątkowo rzadko. A nawet gdy byłem zmuszony uciec się do kłamstwa, to jestem zbyt inteligentny i zbyt dobrą mam pamięć, by sobie samemu zaprzeczyć, odkrywając prawdę. Tak, dobre kłamstwo musi zamienić się w prawdę dla tego, kto je tworzy oraz dla jego słuchaczy. Chciał się też dowiedzieć, dlaczego zniknąłem bez wieści na sześć lat, opuszczając przybranych rodziców.

Poruszyło mnie to. Łatwo było powrócić do przeszłości i jeszcze raz przeżyć nieokreślony ból, który kazał mi wyruszyć do Rosji. Ale ten przyzwoity człowiek, co zrozumiałe, obawiał się, że zostałem komunistą. Już mu mówiłem, że nie interesuje mnie polityka. A co do moich sześciu lat milczenia, to nie byłem w stanie ich wyjaśnić.

Jestem przekonany, że czasem dobrze jest zrobić wrażenie wiotkiego i delikatnego człowieka. Sprawujący nad tobą władzę są wówczas bardzo chętni, by cię osłaniać.

Z uporem powtarzałem, że tych sześć lat milczenia będzie do końca mojego życia źródłem wyrzutów sumienia.

Jednocześnie dawałem do zrozumienia, że moje powołanie kapłańskie jest rodzajem zadośćuczynienia mojej matce.

Dzięki temu stary człowiek musiałby, a przecież tego nie chciał, zranić uczucia mojej przybranej matki, zabierając jej jedyną pociechę w starości. Oczywiście nie wypowiedziałem tego tak otwarcie w tak niedelikatny sposób, ale miałem nadzieję, że w głębi ducha tak sobie to przedstawi mój rozmówca.

Im dłużej trwała nasza rozmowa, tym serdeczniejszy stawał się jej ton. Odczuwałem zadowolenie, gdy rozstawaliśmy się jako przyjaciele.

Minęło wiele dni, zupełnie jakby Kościołowi nie zależało na jeszcze jednym kleryku. W tym czasie pracowałem pilnie nad nowymi dyrektywami, które miały wpłynąć na cały świat za pośrednictwem Rosji.

Kiedy zostałem wreszcie wezwany do domu biskupa czułem się, jakby ziemia się pode mną rozwarła, gdy biskup powiadomił mnie, że zakonnik nie znalazł we mnie powołania.

O TYM, JAK AMBITNY PROGRAM ANTYCHRZEŚCIJAŃSKI PROWADZI DO PIERWSZEGO ZABÓJSTWA

2010-05-03

Moja matka zaniemogła i wzięto ją na obserwację do szpitala. Mój ojciec zareagował na to dziwnym współczuciem, objawiającym się zwiększoną uprzejmością względem mnie. Przyjmowałem je z wielką godnością.

Zapytał mnie, czym zamierzam się zająć. Powiedziałem, że jeszcze się nie poddałem, ale jeśli Kościół rzeczywiście mnie nie przyjmie, podejmę studia medyczne. Wygłosiłem małą przemowę na temat zdrowia ciała, które sprzyja zdrowiu duszy. Ale dość już samochwalstwa.

Oczywiście posłałem pilny telegram do wujka. Natychmiastowa odpowiedź przyszła przez księdza, który spełniał rolę skrzynki kontaktowej. Odpowiedź była krótka i tylko w połowie mnie zaskoczyła: „Usuń przeszkodę”.

Oczywiście otrzymałem specjalne przeszkolenia dla tajnych agentów.

Dobrze wiedziałem jak zaatakować oraz jak się bronić. W związku z tą sprawą spędziłem sporo czasu na rozmyślaniu, czy powinienem upozorować wypadek, czy zawał serca. Innymi słowy zastanawiałem się, czy lepiej rozsiewać zmartwienie, czy może dać dowód potulności.

Uznałem, że najlepiej będzie dokonać likwidacji poza konwentem. W związku z tym poprosiłem mojego pośrednika w korespondencji, aby zaprosił do siebie owego zakonnika pod jakimkolwiek pretekstem. Na szczęście znali się oni od dawna.

Nie kłamałem, zapewniając, że chciałbym się dowiedzieć, co skłoniło zakonnika, iż orzekł u mnie brak powołania. Było to dla mnie ważne, gdyż chciałem udoskonalić swoją grę w religię. Poza tym byłem okropnie rozdrażniony niepowodzeniem.

Zresztą wciąż miałem nadzieję, że uda mi się wpłynąć na zmianę decyzji przez zakonnika. Czekając na drugi wywiad rzetelnie przykładałem się do mojego głównego zadania.

Napisałem wówczas: „Rzeczą najwyższej wagi jest uświadomienie chrześcijanom skandalu, jakim jest podział w łonie kościoła. Istnieją, bowiem trzy różne typy chrześcijaństwa; katolickie, kilka kościołów obrządku wschodniego i około trzech tysięcy sekt protestanckich.” Należało też podkreślić ostatnią modlitwę Jezusa z Nazaretu, tę, której nikt nie słyszał: „Bądźcie JEDNOŚCIĄ tak jak ja i mój ojciec stanowimy JEDNOŚĆ.”. Dzięki niej można było zaszczerpić i rozwijać wyrzuty sumienia, szczególnie wśród katolików. Konieczne jest ciągłe podkreślanie, że właśnie katolicy są odpowiedzialni za rozpad kościoła, ponieważ zawsze odmawiali kompromisu, doprowadzając do schizm i herezji. Doprowadzony do tego miejsca katolik będzie się czuł tak winny, że za wszelką cenę zapragnie pojednania. Wtedy trzeba będzie mu zasugerować, że musi osobiście uczynić wszystko, aby znaleźć sposób zbliżenia katolików do protestantów (i innych odłamów), jednocześnie zachowując zawarte w Credo podstawy wiary. Właściwie powinien się ograniczyć do Credo. Samo Credo należy delikatnie przeformułować tak, aby wszyscy deklarowali w nim wiarę w jeden uniwersalny kościół. Gdy kościół się rodził, słowo „katolicki” oznaczało to samo, co „powszechny”, ale z biegiem stuleci nabrało głębszego znaczenia, stało się słowem niemalże magicznym. Dziś należy za wszelką cenę sprawić, by wszyscy odmawiający Credo myśleli o kościele uniwersalnym, a więc o unii z protestantami. Ponadto każdy katolik musi starać się dowiedzieć, co zadowoliłoby protestantów, bo przecież nie chodzi tylko o wspólne credo i wiarę. I zawsze to nie o nie będzie chodziło. Umysły trzeba zawsze kierować ku większej dobroci i szerszemu zbrataniu. Nie mówić o Bogu, lecz o wielkości człowieka. Słowo po słowie przekształcać język, zmieniać stan umysłów. Człowiek ma się znaleźć na piedestale. Trzeba rozwijać wiarę w człowieka, który udowodni swą wielkość, kładąc podwaliny pod Kościół Uniwersalny, w którym wszystkie dobre intencje zleją się w jedną wolę. Trzeba utwierdzać ludzi w przekonaniu, że od nigdy niewidzianego Boga więcej znaczą ludzka dobra wola, godność i oddanie. Wskazując na luksus i rolę sztuki w katolicyzmie i prawosławiu, ukażmy je jako źródło niechęci protestantów, żydów i muzułmanów. Podsuńmy w ten sposób myśl, że należy je zniszczyć dla większego dobra wszystkich. Należy wzmacniać gorliwość ikonoklastów. Młodzi aktywiści powinni niszczyć cały ten cyrk: figurki, obrazki, relikwiarze, ornaty i stuły, organy, lichtarze, wota, witraże, katedry itd.

Dobrze by się stało, gdyby przez świat przemknęło proroctwo: „Nadejdzie dzień, gdy zobaczycie żonatych kapłanów i msze w językach narodowych”. Wspominam z rozbawieniem, że w 1938 roku byłem pierwszym głoszącym to proroctwo.

Tego samego roku udało mi się namówić pewną kobietę, by ubiegała się o przyjęcie do seminarium. Byłem także orędownikiem liturgii Mszy Świętej, ale nie parafialnej, tylko rodzinnej, którą odmawiałoby się w domu przed każdym posiłkiem pod przewodnictwem matki i ojca.

Pomysły kłębiły mi się w głowie, jeden bardziej ekscytujący od drugiego. Gdy już kończyłem kodowanie całego programu pojawił się mój przyjaciel i zawiadomił mnie, że zakonnik będzie u niego jutro.

Postanowiłem, że spróbuję sprawić, aby ten prosty i niezbyt wykształcony człowiek zmienił swój werdykt. Wiedziałem, jak postępować.

Moje przybycie go nie zaskoczyło. Mój przyjaciel próbował skierować temat rozmowy na moją osobę, ale bez skutku, więc dał mi umówiony sygnał.

Nie byłem zniechęcony, ale delikatnie zaatakowałam tego z pewnością uczciwego człowieka. Oznajmiłem mu, że dokonuje niemalże morderstwa odmawiając mi kapłaństwa. I nalegałem, by wyjawiał mi przyczyny swojego oporu. Ale on odparł, że nie kierują nim jakieś racje, tylko Bóg objawia mu stan czyjejś duszy, i na tej podstawie uznał moją za niegodną kapłaństwa.

Przyznaję, że mnie to zdenerwowało. To nie była odpowiedź. Ostatecznie jednak wierzyłem, że on nie kłamie. Prawdę mówiąc, nie miał on określonego motywu, by mnie całkowicie odrzucić, żadnego motywu, poza ową intuicją, w każdym razie nic, co miałoby racjonalny charakter. Najgorsze było to, że zakonnik robił wrażenie, jakby nie miał zielonego pojęcia, że jego działania nie są czymkolwiek uzasadnione, wyglądał raczej na kogoś, kim sterują siły magiczne.

Oświadczyłem mu, że zamierzam się zaprezentować jeszcze gdzie indziej. Odparł mi z anielskim uśmiechem, że źle robię, upierając się.

Powiedziałem wtedy, że mógłbym odebrać sobie życie, gdybym w ten sposób zdołał dostać się do seminarium.

Przytaknął, że wie o tym. Osłupiałem. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Potem on się odezwał: - Naprawdę nie wiesz, co robisz.

Przyznaję, że miałem wtedy ochotę uciec na koniec świata. Ten człowiek posiadał moc, której nie mogłem sobie w żaden sposób wytłumaczyć.

Ale przyjaciel dał mi znak. Widział, że słabnę. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że gdybym nie wykonał rozkazu wujka, byłby to mój koniec.

Musiałem sprawić, że przeszkoda zniknie. Moja wartość, choć niezaprzeczalna, musiała zostać potwierdzona przez ten gest posłuszeństwa i odwagi.

Potem wstałem i zabiłem go, nie pozostawiając śladów na ciele. Ktoś mojej rangi musiał przejść specjalistyczne szkolenie, którego cenne nauki pochodzą z Japonii.

W tym czasie bardzo niewielu ludzi miało świadomość własnej nieznajomości wszystkich niezwykłych możliwości ludzkiego ciała służących obronie i napaści, a nawet zadawaniu śmierci gołymi rękoma. Choć jestem Rosjaninem, muszę przyznać, że w tych kwestiach (a może i w innych) Japończycy są ekspertami.

Jestem przekonany, że w czasie moich studiów bardzo niewielu ludzi w Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych uczyło estetycznych, a zarazem skutecznych metod walki, nawet walki na śmierć i życie, z użyciem samych tylko nieuzbrojonych rąk.

Byłem dumny z siebie, będąc jednym z pierwszych miłośników tych sztuk walki, tym bardziej, że przypominają one - szczególnie mnie, Rosjaninowi - uwielbiany u nas powszechnie taniec. W wielu przypadkach pozwoliły mi one obronić się, nie zachowując się jednocześnie jak ociążałe, prehistoryczne zwierzę.

Zadawszy dwoma szybkimi ruchami (wymagającymi długiego treningu) śmierć człowiekowi, który z wręcz komiczną odwagą śmiał przeciwstawić się marksizmowi i leninizmowi, (czyli innymi słowy całej przyszłości) cicho wróciłem do domu. Oczywiście o śmierci napiszą w gazetach. Nie będzie ran, stwierdzony zostanie atak serca.

Następnego dnia moją skórę pokryły pryszcze. Byłem wściekły, bo dostrzegałem w tym oznakę słabości, znak, że moja wątroba nie wytrzymuje takiego napięcia. To było głupie. Powinienem sobie gratulować, gdyż ojciec pomyślał, że strasznie cierpię nie mogąc wstąpić do seminarium. Poszedł więc do biskupa, wyjawiał mu swój ból i błagał go w mojej intencji. Skutecznie.

O TYM, JAK ANTY-APOSTOŁ ROZPOCZYNA SWOJĄ PRACĘ I ODCZUWA SZCZEGÓLNA NIENAWIŚĆ DO SUTANNY

2010-05-09

Zacząłem więc przygotowywać się do pobytu w seminarium. Moja matka, która powróciła do pełni sił, kupiła mi kilka zupełnie niepotrzebnych rzeczy, tuż przed

przyjściem telegramu, którego treść wywarła takie wrażenie, jakby ktoś zrzucił na nas bombę. Wzywano mnie do Rzymu. Wspomniano coś o „nowych zadaniach”. Udawałem, że nic z tego nie rozumiem.

Matka znów zaczęła płakać, a ja ciężko odetchnąłem z myślą o uldze, której miałem doznać, opuszczając kraj dzieciństwa. Miałem nadzieję, że nigdy tam już nie powrócę.

W Rzymie odbywałem niezwykle wciągające rozmowy z profesorem, który miał zostać moim podwładnym, gdy tylko otrzymam święcenia. Był członkiem naszej siatki. I wielkim optymistą. Był biblistą i pracował właśnie nad nowym tłumaczeniem Pisma Świętego na angielski. Najbardziej zadziwiające było to, że na swego jedynego współpracownika wybrał luterańskiego pastora. Ów pastor nie był zresztą w dobrych stosunkach z własnym kościołem, który zwykł nazywać nieco staroświeckim.

Współpracowali ze sobą oczywiście po kryjomu. Ich wspólnym celem było wykorzenienie ze społecznej świadomości istnienia wszelkich systemów, które sama sobie narzuciła pod wpływem Biblii, szczególnie Nowego Testamentu.

Zatem;

- ✓ Dziewictwo Marii,
- ✓ Obecność ciała Chrystusa w Eucharystii,
- ✓ Oraz jego zmartwychwstanie.

Miały zostać najpierw zepchnięte na margines, a potem całkowicie wykorzenione. Była to w ich oczach cena, którą warto było zapłacić za godność nowoczesnego człowieka.

Ów profesor nauczył mnie także rozsądnego sposobu odprawiania Mszy Świętej, co miało okazać się przydatne, gdy będę musiał robić to regularnie już za sześć lat.

Oczekując na głębokie zmiany w całej liturgii, nie wymawiał on nigdy słów konsekracji. Ale aby uniknąć podejrzeń mówił słowa bardzo zbliżone, przynajmniej jeśli chodzi o ich końcówki. Poradził mi, abym robił to samo. Wszystko, co zbliżało wygląd tej ceremonii do ofiary, powinno zostać usunięte. Cała Eucharystia powinna się stać wspólnym posiłkiem, tak jak u protestantów.

Zapewniał mnie nawet, że w gruncie rzeczy właśnie tak było zawsze. Pracował także nad nowym opracowaniem porządku mszy świętej, i doradzał mi to samo, gdyż sądził, że jest ze wszech miar wskazane dać ludziom do wyboru kilka różnych rodzajów mszy. Musi być msza krótka dla rodzin i małych grup, msza nieco dłuższa

na dni świąteczne, choć zarzekał się, że dla ludzi pracujących największą ucztą jest obcowanie z przyrodą. Przypuszczał w związku z tym, że już niedługo dojdziemy do tego, że niedziela będzie dniem poświęconym celebracji natury.

Przyznał, że jego praca nie zostawia mu wystarczająco dużo wolnego czasu, by mógł rozważyć podobne kwestie dla religii żydowskiej, muzułmańskiej, czy innych religii wyznawanych na wschodzie. Uważał jednak takie badania za niezwykle ważne, może nawet ważniejsze od nowego tłumaczenia Biblii. Doradzał mi podjęcie poszukiwań pierwiastka najbardziej podnoszącego godność człowieka we wszystkich religiach niechrześcijańskich.

Próbowałem go nakłonić, by powiedział mi cokolwiek o innych księżach i klerykach związanych jak ja z Partią, ale udawał, że nic praktycznie o nich nie wie.

Mimo to dał mi adres pewnego Francuza, profesora śpiewu, który mieszkał w mieście, gdzie miałem spędzić sześć lat, studiując dogłębnie nużące przedmioty. Zapewnił mnie, że mogę mieć pełne zaufanie do tego człowieka, i że wyświadczy mi on najbardziej troskliwie usługi, takie jak na przykład przechowanie świeckiego ubrania w jego domu.

Wszystko pod warunkiem, że dobrze mu zapłacę.

Oczywiście kazał mi również zwiedzać Rzym i opowiadał wszelkie legendy o świętych, którym oddawano w tym mieście najwyższą cześć. Było zresztą wystarczająco wiele przyczyn, by wszystkie je wymazać z kalendarza, co zresztą chcieliśmy uczynić w przyszłości. Ale obaj wiedzieliśmy, że mniej czasu zajmie zabicie Boga, niż wymazanie z pamięci wszystkich świętych.

Pewnego dnia, gdy siedzieliśmy na tarasie rzymskiej kawiarni, profesor powiedział do mnie: - Wyobraź sobie to miasto bez jednej sutanny, jakiegokolwiek ubrania oznaczającego osobę duchowną. Co za pustka! Jaka wspaniała pustka! Właśnie w Rzymie pojmuję niezwykłą wagę sutanny. Poprzysiągłem sobie w duchu, że któregoś dnia zniknie ona z ulic tego miasta, a nawet z kościołów, ponieważ ludzie łatwo uwierzą, że msza jest jedynie sutanną.

Ta mała gierka w wyobrażanie sobie ulic wiecznego miasta bez ani jednej sutanny, stała się dla mnie grą zręcznościową. Za jej sprawą powziąłem wzrastającą nienawiść do tego kawałka czarnej szmaty.

Zdawało mi się, że sutanna przemawia milczącym, lecz jakże elokwentnym językiem. Wszystkie sutanny zdawały się mówić do ludzi wierzących i do zupełnie obojętnych, że ten mężczyzna poświęcił się w całości niewidzialnemu Bogu, którego uważa za wszechmocnego.

Kiedy przyszedł czas, że ja również musiałem nałożyć tę śmieszną szatę, obiecałem sobie dwie rzeczy:

- ✓ Po pierwsze zrozumieć jak i dlaczego powołanie trafia się młodym chłopcom.
- ✓ Po drugie, we wszystkich noszących sutanny wpoić pobożne pragnienie zdjęcia jej, by lepiej mogli wpływać na obojętnych i wrogów.

Obiecałem sobie nadać realizacji tych celów wszelkie pozory pobożnej gorliwości. Było to dla mnie niezbyt trudne.

Większy kłopot miałem ze zrozumieniem narodzin powołania w sercu młodego człowieka. Były one tak proste, że wydawało mi się to aż niemożliwe. Ale ostatecznie, jeśli mały chłopiec w wieku od 4 do 10 lat zna miłego księdza, to może chcieć go naśladować. I w tym właśnie momencie rozumiałem swą niechęć dla sutanny - przecież ci młodzi chłopcy nie odczuli by prawdziwej lub urojonej mocy księdza, gdyby on nie dawał im znaku, że jego życie różni się od życia innych.

Kostium był jednym z takich znaków, i można by nawet posunąć się do stwierdzenia, że w sutannie zawarta jest cała doktryna noszącego ją człowieka.

Sutanna była dla mnie jak małżeństwo z Bogiem czczonym, jako Wszechmocny i ci mężczyźni za jej pomocą na każdym kroku obnosili się ze swym darem i wyróżnieniem.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej było to dla mnie irytujące. Z drugiej jednak strony czułem się wdzięczny losowi za to, że spędziłem dzieciństwo i nawet początek wieku młodzieńczego w bardzo katolickiej rodzinie.

Wierzyłem, że to dlatego mój anty-apostolat jest tak wartościowy. Wiedziałem, że dzięki temu przeszłemu doświadczeniu będę jednym z najlepszych agentów, i w końcu zostanę zwierzchnikiem nadzorującym to wielkie zadanie. I od razu zacząłem się cieszyć, że młodzi chłopcy, widząc księdza żyjącego jak wszyscy naokoło, nie będą mieli ochoty go naśladować. Będą się musieli przyglądać komuś przeciętnemu, z daleko idącymi konsekwencjami. Będzie wówczas doskonały wybór naprawdę łatwych do naśladowania osobników!

Poza tym ci nowi księża reprezentujący kościół otwarty na wszystkich nie będą do siebie podobni. Nie będą też głosić tej samej nauki. A jeśli nie będą się mogli zgodzić ze sobą, przynajmniej na gruncie teologicznym, to każdy z nich znajdzie kilku własnych zwolenników. Będą wtedy żyć w strachu przed kolegą nauczającym w sąsiedztwie... jedyne, co do czego będą się zgadzać, to kwestie filantropijne. A Bóg umrze. To wszystko. Pomyślałem potem, że przecież w tych stwierdzeniach

nie ma niczego wyjątkowego i zastanowiło mnie, dlaczego nikt przede mną na to nie wpadł. Jest więc chyba prawdą, że są czasy bardziej sprzyjające kwitnieniu niektórych kwiatów.

Początek mojego pobytu w seminarium należał do najszcześniejszych okresów w moim życiu. Stałem się obiektem zainteresowania z racji mojej sytuacji jedyne i hołubionego dziecka z bogatej rodziny, która wolała odciąć się od niego, byle uniknęło wojny. Każdy chciał okazać odrobinę sympatii młodemu odważnemu Polakowi. Mówiono: chwała boża była dla niego więcej warta niż jego własny kraj. Co za świętość! Przez skromność nie przerywałem im, by zaprzeczać.

Obiecałem sobie być we wszystkim najlepszym i tak się stało. Moja znajomość języków obcych była imponująca. Jest to zresztą dość typowe dla ludzi ze Wschodu. Z uporem pracowałem nad greką i łaciną. Pozwolono mi także odbywać specjalne lekcje śpiewu z moim francuskim przyjacielem. To nie było seminarium o rygorystycznej regule. Kształtowanie charakteru nie było tak podkreślane, jak w Europie. Wyróżniałem się także w sportach związanych z rywalizacją, choć nie ujawniałem mojej umiejętności walki wręcz.

Jednym słowem wszystko układało się tak dobrze, że zacząłem poszukiwać jakiegoś impulsu, który nadałby mojemu życiu szybsze tempo.

Postanowiłem się wypowiedzieć jednemu z moich profesorów, o którym sądziłem, że ma do mnie osobistą słabość.

O TYM, JAK BOHATER WYSTAWIA NA PRÓBĘ TAJEMNICĘ SPOWIEDZI

2010-05-17

Wypowiadałem się więc szlachetnemu staruszkowi, którego wszyscy nazywaliśmy ze szczerą sympatią „Niebieskookim”. Nawet ja czasami ulegałem czarowi jego dziecięcego wyglądu. Dlatego wybrałem właśnie jego do tego eksperymentu.

Co do mnie, chciałem sprawdzić jak będzie się zachowywał obarczony sekretem spowiedzi, który z jednej strony będzie starał się zachować, a z drugiej strony będzie chciał go wykorzystać, by mnie wydalono i odesłano do domu. Nie sądziłem, aby to mogło być dla mnie niebezpieczne, ponieważ zawsze mogłem się wszystkiego wyprzeć. Poza tym byłem we wszystkim najlepszy i moja pozycja była bardzo mocna. Było od jakiegoś czasu jasne, że jestem w całym tym tłumie najinteligentniejszy.

Uprosiłem więc „Niebieskookiego”, by wysłuchał mojej spowiedzi i wyznałem mu wszystko, opisując moje zaangażowanie w komunizm, współpracę z tajnymi służbami i misję aktywnego zwalczania religii. Przyznałem się też do morderstwa na polskim zakonniku, który blokował moją drogę do kapłaństwa.

Byłem zaskoczony, ale „Niebieskooki” od razu we wszystko uwierzył. Mogłem mu przecież opowiadać zupełne bajdy! Zareagował wyświechtanym kazaniem o moim wiecznym zbawieniu.

Niemalże wybuchnąłem śmiechem. Czy on wyobrażał sobie, że żywię choćby cień uczuć religijnych? Poczułem się, więc wielce zobowiązany wyjaśnić mu w sposób niebudzący wątpliwości, że nie uznawałem istnienia ani Boga ani diabła. Takie wyznanie było dla niego zapewne nowością. Mi zaś zrobiło się go prawie żal.

Potem zapytał: - Co chcesz osiągnąć przyjmując święcenia kapłańskie?

Z całą szczerością wyłożyłem mu moje intencje: - Chcę zniszczyć kościół od wewnątrz.

- Jesteś wyrachowany - odparł.

Byłem już prawie wściekły, więc z niekłamaną radością wyjawilem mu, że jest nas już ponad tysiąc księży i kleryków.

- Nie wierzę ci - odpowiedział.

- Jak tam sobie chcesz, ale mój numer to 1025 i nawet zakładając, że niektórzy z nas już nie żyją, wciąż musi nas być około tysiąca.

Po długiej ciszy zapytał mnie sucho: - Czego chcesz ode mnie?

Nie mogłem przecież mu odpowiedzieć, że chciałem się rozerwać, obserwując jak on postąpi z moim wyznaniem. Dlatego powiedziałem tylko: - Przypuszczam, że będzie mnie profesor próbował relegować z uczelni?

- Relegować?! Jesteś naszym najlepszym studentem, i być może najbardziej pobożnym.

Teraz już zupełnie nie wiedziałem, jak mu odpowiedzieć.

Rzekłem więc mimo to: - Czy moja spowiedź nie jest wystarczającym objawieniem mojego prawdziwego charakteru?

- Spowiedź - odparł - została ustanowiona przez naszego Pana Jezusa Chrystusa dla dobra dusz, zatem twoja spowiedź jest bezużyteczna.

- Nawet nie pozwoli lepiej mnie zrozumieć?

- Nie, nawet do tego się nie nadaje. Gdy opuścisz to miejsce, ja o wszystkim zapomnę.

- Naprawdę?

- Dobrze o tym wiesz, bo studiujesz w seminarium.

- Teoretycznie jestem przekonany, jak jednak mam się o tym przekonać w praktyce?

- Więc o to ci chodzi? - odrzekł - To jest cel tego niewiarygodnego wyznania?

- Być może.

- Jeśli masz jeszcze jakieś ukryte zamiary, lepiej mi powiedz.

- Nie, nie mam - odpowiedziałem delikatnym głosem - Chciałem tylko cię dobrze poznać, to wszystko.

Przez moment był głęboko zamyślony.

- Nic z tego nie wyjdzie, na próżno podejmujesz wysiłek w tym kierunku.

- Zupełnie nic?

- Nic, dobrze o tym wiesz.

Po tych słowach wyszedł zostawiając mnie strapionego.

Następnego dnia kleryk z mojego roku, który uważał się za mojego przyjaciela, ponieważ mnie lubił, powiedział mi przyciszonym tonem: - „Niebieskooki” całą noc modlił się w kaplicy.

Popatrzyłem na starego profesora. Wcale nie wyglądał na kogoś, kto nie przespał nocy. Ale gdy zanudzał nas swoim wykładem, medytowałem o tej nocy, która mogła być na wzór modlitwy Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym. „Niebieskooki” zapewne modlił się, aby odsunąć od niego ten kielich, ale nikt nie mógł już cofnąć tej spowiedzi.

Wydawało mi się niemożliwe, żeby o niej zapomniał. W swoich modlitwach musiał błagać Boga, bym żałował swego grzechu lub opuścił seminarium. A może próbował znaleźć sposób, by mnie sprowokować do rezygnacji? Ale za każdym razem, gdy jakiś pomysł przyszedł mu do głowy, musiał w głębi duszy słyszeć krzyk: „Nie, przecież nic nie wiesz!”

Cóż mógł powiedzieć przeciw mnie, co nie odnosiłoby się do mojej spowiedzi? Zwyczajnie nic. Nie podjąłbym ryzyka tej gry, gdybym nie był wzorcowym klerykiem.

Czy ten biedny starzec nie wie, że komunista jest gotów do wszelkich poświęceń? Wszyscy wierzą, że tylko chrześcijanie są zdolni do składania ofiar.

Przez następne dni bardzo uważnie obserwowałem „Niebieskookiego” i zawsze zachowywał się w zwyczajny dla siebie sposób. Był równie spokojny i delikatny, co zwykle. Właściwie to go polubiłem, i prawie, że robiłem sobie wyrzuty, gdy pisałem do wujka. Ale ostatecznie zdecydowałem się przemilczeć epizod spowiedzi - mogłoby to nie zostać zrozumiane.

Wiele miesięcy później znów ogarnęła mnie chęć wyspowiadania się któremuś z profesorów. Właściwie to byłem już krańcowo rozdrażniony monotonią życia i faktem, że moja obecność wszystkim odpowiadała. Mała walka dobrze by mi w tych okolicznościach zrobiła. Spowiadałem się więc wszystkim profesorom po kolei i miałem spory ubaw obserwując jak borykają się z tym sekretem. Nie mogłem jednak zupełnie zrozumieć, jak mogą znieść brzemień mojej obecności pośród siebie i jak odpychali od siebie wizję zła, które byłem w stanie wyrządzić.

Mimo to od czasu do czasu byłem przyjemnie zaintrygowany. Potrzebowałem takiego pobudzenia. Wyobrażałem sobie, że znajdą jakiś sposób, by mnie nie dopuścić do święceń kapłańskich. Podwajałem wtedy moją gorliwość; moje kazania były wzorcowe, były małymi arcydziełami.

Moja zasługa była tym większa, że przez cały czas musiałem czuwać nad rozwojem działań antyreligijnych na całym świecie.

Na szczęście wujek zrozumiał, że nie musi już wymagać ode mnie kodowania moich prac. Musiałem tylko przedstawiać jeden projekt tygodniowo. Miałem aż nadmiar pomysłów i praca nad nimi mnie nie nużyła, wprost przeciwnie, była moim wsparciem i przyjemnością.

W czasie, gdy rozrywałem się, spowiadając się profesorom, stałem się szczególnie wyczulony na punkcie doktryny, która zawiera się w nakazie „świętej cnoty posłuszeństwa”. Chodzi tu nade wszystko o posłuszeństwo Papieżowi.

Próbowałem się tej idei przyjrzeć pod wieloma kątami, lecz nie byłem w stanie jej zrozumieć.

Musiałem więc poprosić nasze służby, by się tym zajęły i dyskretnie wyszydzały przy każdej możliwej okazji zaufanie okazywane Papieżowi. Nie miałem wątpliwości, że proszę o coś bardzo trudnego. Ale, ostatecznie, sądziłem, że pobudzenie katolików do krytyki Papieża, jest niezwykle istotne.

Jednemu z agentów powierzono zadanie stałej kontroli publikacji kancelarii papieskiej w celu wynajdywania szczegółów mogących zrazić do Papieża różne grupy. Jakość przeciwników ojca świętego nie grała tutaj roli, najważniejsze było to, by był otoczony krytyką. Ideałem była sytuacja, w której papież nie cieszy się popularnością zarówno wśród reakcjonistów, jak i pośród reformatorów.

Cnota posłuszeństwa jest jednym z filarów tego kościoła.

Chciałem go osłabić poprzez wzbudzanie wyrzutów sumienia. Niechby każdy wyobraził sobie, że jest osobiście odpowiedzialny za rozłam w kościele. Niech każdy katolik wypowie, *mea culpa* i zastanowi się, jak zniwelować skutki owych czterech wieków pogardy wobec protestantów.

Wspomagałem te badania, wynajdując wszelkie źródła urazy dla protestantów i zalecając zdobyć się na nieco większą dobroć wobec nich. Dobroć ma bowiem tę praktyczną cechę, że można pod jej szyldem uczynić każde głupstwo.

W tym czasie wciąż jeszcze się obawiałem, że moja metoda może zostać zdemaskowana i że niejeden zdaje sobie sprawę, że jest to sposób zabicia Boga. Wypadki późniejsze pokazały, że nie miałem się, czego obawiać. Jak mówi francuskie przysłowie, lepsze jest wrogiem dobrego. W tym wypadku nikt się nie spostrzegł, że moja braterska miłość do protestantów może spowodować zgubę na całe chrześcijaństwo. Nie chcę przez to powiedzieć, że protestanci nie mają wiary i że w związku z tym znaleźli się poza kręgiem moich zainteresowań i działań.

Ale schlebiałem im mówiąc, że nie muszą się nawracać na katolicyzm, że będzie wręcz przeciwnie, że to katolicy uczynią krok w ich kierunku. Gdy zawiązywano sobór (sobór, który zanim się zaczął, już mnie śmieszył) puściłem w obieg wiadomość dla całego świata, która sprawiła, że słuchał w osłupieniu. Było to proroctwo i rozkaz jednocześnie. Najpierw więc proroctwo: sam Bóg, w cudowny sposób, spektakularny i cudowny (ludzie za tym przepadają) przyczyni się do zjednoczenia chrześcijan. Jest to wytłumaczenie, dlaczego ludzie powinni się stać niezwykle otwarci, i bardzo gotowi do aktów dobroci.

Innymi słowy katolicy powinni się pozbyć części balastu, by Bóg mógł okazać swój wielki cud pośród czystych serc. Dla każdego dobrego katolika posiadanie czystego serca musi oznaczać usilne starania, by za wszelką cenę dogodzić protestantom.

Rozkaz był równie prosty: protestantom pod żadnym pozorem nie wolno się nawracać na katolicyzm. Bardzo mi zależało na realizacji tego punktu, gdyż w ostatnim czasie nawrócenia zaczynały się mnożyć. Zatem zaznaczałem wszędzie, gdzie było to możliwe, że wielki cud nie nastąpi, jeżeli katolicy będą przyjmować

nawróconych protestantów. Postawiłem sprawę jasno - Bóg powinien mieć nieskrępowane pole manewru.

Słuchano mnie i wypełniano moje zalecenia. To ja, nie ich Bóg, dokonywałem cudu.

NAWET DZIŚ TRZĘSĘ SIĘ Z ZADOWOLENIA. POCZYTUJĘ
TO SOBIE ZA JEDNO Z MOICH WIĘKSZYCH OSIĄGNIĘĆ.

O TYM, JAK AMBITNY CZŁOWIEK UWAŻAJĄCY SIĘ ZA NAJSILNIEJSZEGO SPOTYKA„ KRUCZOWŁOSĄ" I ZACZYN

2010-05-23

Pod koniec drugiego roku pobytu w seminarium zacząłem się poważnie zastanawiać, czy długo jeszcze wytrzymam. Wola ćwiczona w samotności nie zawsze wystarcza, a byłem jeszcze zbyt młody, by zaspokoić swój głód jedynie nienawiścią. Mimo to widziałem, że moja nienawiść wzrasta. Nie była już zarezerwowana dla Boga, teraz obejmowała całe moje otoczenie. Gdyby tylko mogli się domyślić, jak bardzo ich nienawidzę! Do dziś podziwiam siebie za to, że wytrzymałem z nimi tyle czasu. Oczywiście byłem i jestem samotnikiem. Ale choć bywanie w towarzystwie jest mi zupełnie do szczęścia niepotrzebne, to w młodości wyraźnie odczuwałem brak jakiejś oazy ludzkiego ciepła koło siebie.

W gruncie rzeczy odwiedzałem tylko w każdą sobotę mojego nauczyciela śpiewu. W pewnych sprawach rozumieliśmy się bez wymawiania jednego słowa, ale on nigdy nie znał rzeczywistych celów mojej misji i jej zasięgu. Bardzo lubiłem te wizyty, gdyż mogłem tam naprawdę odpocząć. Być może bez nich nie miałbym wystarczającej siły, by to wszystko znieść.

NA SZCZĘŚCIE TE ZAPISKI NIE ZOBACZĄ NIGDY ŚWIATŁA DZIENNEGO, BO
NIE BYŁYBY BUDUJĄCYM ŚWIADECTWEM DLA MOICH TOWARZYSZY.

Otrzymałem także rozkaz przyjmowania pewnych zaproszeń na świeckie uroczystości. Nigdy nie wiedziałem, jak i dlaczego te zaproszenia trafiają do mnie. Musiałem jednak być im posłuszny. Nigdy nie ośmieliłem się w żadnym z listów zapytać wujka o sens uczestnictwa w tych frywolnych zajęciach.

Wujek znał jednak moją odrazę dla tego typu spraw i wyjaśnił mi, że dobrze mi zrobi, jeśli rozejrzę się po świecie. Musiałem się z tym zgodzić, ale przyznaję, że nie dokonałem przy tej okazji żadnego wartościowego odkrycia.

Któregoś dnia, gdy uczestniczyłem w wielkim, wyjątkowo wystawnym przyjęciu, moje znudzone spojrzenie spoczęło na profilu młodej dziewczyny i nagle wszystko dookoła przestało istnieć, nie wyłączając mnie samego.

Miała długą szyję, nieco bardziej pochyłą niż wieża w Pizie, a na głowie burzę czarnych włosów, które miałem ochotę rozczochrać. Jej profil był dziecinny i zarazem uparty. Patrzyłem na nią z zapartym tchem.

Zdawało mi się, że jest nas tylko dwoje, chociaż ona mnie nie widziała. Wewnątrz słyszałem krzyk, żeby się odwróciła tak, abym mógł jeszcze raz spojrzeć na jej profil, ale nie zrobiła tego. Nie wiem, jak długo trwałem w tym uniesieniu, ale na ziemię sprowadził mnie jakiś młody nieznany człowiek. Wszystko rozumiał, może nawet lepiej niż ja. Ale musiał mieć dobre serce, skoro spytał: - Czy chciałbyś, abym przedstawił cię Pannie X?

Znał moje imię, lecz uważał mnie za studenta uniwersytetu. Podczas wszystkich tych uroczystości towarzyskich nikt nie mógł domyślić się we mnie kleryka. Nieco później ten uczynny młody człowiek przedstawił mnie „Kruczowłosej” (nigdy nie będę używał innego imienia).

Dzięki dyskretnemu ćwiczeniu oddechu odzyskałem opanowanie i spokój.

Mimo to byłem już innym człowiekiem, zupełnie innym. Wystarczyła jedna setna sekundy. Przez resztę wieczoru nie próbowałem zrozumieć, co się ze mną działo - zbyt byłem zajęty smakowaniem tych nowych uczuć.

Rozmawiałem z „Kruczowłosą” przez kilka chwil, które nie wystarczyły mi, by ją całą „pożreć”. Opanowało mnie pragnienie, by mieć tę dziewczynę tylko dla siebie i ukryć w małym domku z dala od tego wszystkiego, w chatce, gdzie ona obiecałaby, że na mnie zaczeka. Miała bardzo ciemne oczy, które patrzyły na mnie z powagą wprawiającą w zakłopotanie. Kiedy poproszono ją do tańca musiałem trzymać obie ręce splecione na plecach, by nie zabić człowieka, który mi ją porwał.

Taniec jest wymysłem szatana. Nie rozumiem, jak mężczyzna może wytrzymać widok innego mężczyzny tańczącego z jego żoną.

Patrzyłem, jak poruszała się w rytmie walca. Miała wspaniałą suknię, ale ja byłem jak zahipnotyzowany przez jej wygiętą szyję, jakby wyczekującą na cios z ręki kata.

Nie wiem, dlaczego zdawało mi się, że przeznaczeniem tej młodej dziewczyny jest okrutna śmierć. To przeczucie dodatkowo wzmacniało pragnienie wyrwania jej spośród tych wszystkich ludzi.

Co ona robiła wśród tych wszystkich głupców? Czym zajmowała się w życiu?

Musiałem w jakiś sposób, wszystko jedno jaki, byle skuteczny, sprawić, by chciała na mnie zaczekać. Należała już do mnie. Ale ona wyszła z jakimś starszym małżeństwem, którego nie kojarzyłem. Jak zdołam znów ją zobaczyć?

Nie zwracała na mnie uwagi, tylko tuż przed wyjściem nasze spojrzenia się spotkały. Co znaczył jej wzrok? Czy możesz się dowiedzieć jak mnie znów spotkać? Być może... W każdym razie nie zastanawiałem się więcej, co mogła sobie pomyśleć. Podąłem decyzję, że będę sterował jej myślami, ponieważ uznałem, że już na zawsze należy do mnie. Jeśli nie zgodzi się na to, będzie to tylko podwyższenie stawki w tej przyjemnej grze.

Znałem tylko jej imię. Zadanie odnalezienia jej powierzyłem mojemu nauczycielowi śpiewu.

Cała sprawa zdawała się go śmieszyć. Nawet rzekł do mnie: - Więc stajesz się teraz bardziej podobny do człowieka?

Nie wiem, co nieludzkiego we mnie widział, i nawet byłem odrobinę rozdrażniony jego słowami. Nie chciał rozwinąć ich sensu. Jego wysiłki bardzo powoli przynosiły rezultaty i jedynie wytężoną gorliwością w wykonywaniu obowiązków zdołałem się opanować.

W tych samych dniach wprowadziłem w życie, można by rzec: wprowadziłem na rynek, program, który mógł zaowocować zaakceptowaniem katolików przez protestantów.

Katolicy zbyt liczyli na powrót protestantów na łono macierzystego kościoła. Był już najwyższy czas, by porzucili swą arogancję. Dobroć nakazuje widzieć w tym obowiązek. Gdy zaś chodzi o dobroć - udając powagę śmiałem się w kułak – nic zdrożnego nie może się stać.

Prorokowałem ze sporą pewnością siebie, aby powtarzano moje słowa tym samym tonem. Przepowiadałem wyparcie łaciny, odrzucenie ornatów, figur i obrazów, wszystkich świec i kłęczników (**by już więcej nie klęczano**).

Równocześnie rozpocząłem bardzo szeroką kampanię przeciwko znakowi krzyża świętego. Jest to bowiem znak uznawany jedynie w kościołach wschodnich i wśród katolików. Powinni oni sobie wreszcie zdać sprawę, że obrażają uczucia innych, którzy mają tyle samo, co oni świętości i zalet. Całe to przyklękanie i żegnanie się krzyżem jest przecież śmiechu wartym przesądem.

Zapowiadałem także, a był dopiero rok 1940, że znikną ołtarze i zostaną zastąpione przez proste stoły liturgiczne.

Zniknąć miały też wszystkie krzyże, by Chrystusa zaczęto uważać za człowieka, nie zaś Boga. Nalegałem, by przez Eucharystię rozumieć wspólny posiłek, do którego można zaprosić niewierzących. Doszedłem nawet do następującego proroctwa: dla współczesnego człowieka obrzęd chrztu musi się wydawać czynnością śmiesznie czarodziejską. Wszystko jedno, czy odbywa się on przez zanurzenie czy nie, udzielanie chrztów musi być zaniechane, by nasza religia była dojrzała.

Szukałem też sposobów, by uzasadnić rezygnację z urzędu papieża, ale nie potrafiłem znaleźć nic sensownego.

Dopóki opieramy się na słowach Chrystusa: „Ty jesteś Piotr, opoka, na której zbuduję swój kościół i bramy piekielne go nie przemogą” i dopóki wierzymy, że nie są one jedynie zabawą językową gorliwego Rzymianina, (ale jak moglibyśmy udowodnić, że nie są? - sama możliwość nie jest wystarczająca) papież będzie się cieszyć autorytetem i władzą. Pocieszałem się myślą, że może udać się nam zrobienie z niego głupca w oczach wielu wiernych.

Istotnym elementem programu było przeciwstawianie się papieżowi przy każdej okazji, gdy wykazywał inicjatywę, gdy podejmował nowe dzieło, choćby chodziło o zaniechanie przestarzałych zwyczajów trudnych do praktykowania w XX wieku.

Ponadto należało dążyć, aby wszystko, co jest dozwolone przez kościoły protestanckie, choćby przez jeden z odłamów, było zaakceptowane przez kościół katolicki. A więc małżeństwa rozwodników, wielożeństwo, antykoncepcja i eutanazja.

Kościół uniwersalny, mający przyjąć wszystkich kapłanów oraz filozofów, nawet tych niewierzących, wymagał od kościołów chrześcijańskich, by zrezygnowały ze swoich właściwości. Dlatego zapowiadałem wielkie porządki.

Wszystko, co popychało serce i umysł do uwielbienia niewidzialnego Boga musiało być bez litości zniszczone.

Nie należy przy tym sądzić, że lekceważyłem, jak co poniektórzy, których imion nie wymienię, znaczenie gestów i wszystkiego, co w religii przemawia do zmysłów.

Ktoś rozważny mógłby zwrócić mi uwagę, że staram się z religii usunąć wszystko, co czyni z niej rzecz przyjemną, choć z natury jest przecież dość surowa.

Pozostawienie tej właśnie surowości było samo w sobie niezłą sztuczką. Wystarczyło tylko dyskretnie insynuować, że ten okrutny Bóg mógłby być jedynie ludzkim wymysłem - Bóg, którego okrucieństwo sprawiło, że nie zawahał się

pościć własnego syna na śmierć krzyżową!!! Musiałem jednak być czujnym i uważać, by moja nienawiść nie stała się widoczna w moich pismach.

Gdy rozkoszowałem się tymi rozkazami i prorocztwami, zadzwonił do mnie nauczyciel śpiewu. Znalazł ją i zapraszał mnie na koncert, gdzie mogłem ją jeszcze tego samego wieczora znów ujrzeć.

Na szczęście łatwo dostałem pozwolenie wyjścia. Miałem bardzo dobry głos, a ludzie kościoła zawsze byli szczególnie pobłażliwi dla muzyków.

Zobaczyłem ją - piękniejszą niż przy pierwszym spotkaniu - tak niezwykle piękną... Jak tu pozostać przy zdrowych zmysłach?

Bez oporów zgodziła się przyjść w następną sobotę na herbatę do mojego nauczyciela śpiewu.

Udawałem, że mieszkam w centrum akademickim. Mój profesor śpiewu miał na imię Achilles i życzył sobie, bym go tytułował wujkiem Achillesem. W ten sposób pragnął stworzyć dla mnie iluzję rodziny. Nie byłem mu jednak za to zbyt wdzięczny, gdyż widziałem, że on na serio pragnął, abym któregoś dnia się ożenił.

Skąd taki absurd pojawił się w jego głowie? Był to widoczny znak, że on także widział mój brak powołania kapłańskiego, ale nie doceniał mocy i powagi mojego powołania socjalistycznego.

Myśląc o tym dłużej dochodziłem do przekonania, że ten brak zrozumienia z jego strony był znakiem siły mojego charakteru i moich zdolności do ukrywania moich prawdziwych intencji, co mogło tylko dobrze przysłużyć się sprawie. Jeśli chce się zostać naprawdę wielkim człowiekiem, dobrze jest mieć powierzchowność kogoś zwyczajnego, a nawet nieco głupiego. Ci, którzy popisują się przed tłumami to nie ci sami, którzy w rzeczywistości pociągają za sznurki.

„Kruczowłosa” dobrze się bawiła podczas wizyty u mojego wujka Achillesa. Zademonstrowałem wszystkie uroki mojego słowiańskiego temperamentu. Nikt mnie nie kształcił w tej grze, ale okazało się to umiejętnością instynktowną.

Przyznaję, że byłem z tego bardzo dumny.

Kobieta moich marzeń miała tego dnia na sobie prostą niebieską sukienkę, a na szyi nosiła zaledwie jeden klejnot, duży medalik z Matką Boską, zwany cudownym medalikiem.

Moje oczy, co chwila wracały do tego przedmiotu i odwracały się od niego jak oparzone. Miałem ochotę zerwać go z jej szyi i wyrzucić za okno.

O TYM, JAK MOJA ANTYRELIGIJNA GORLIWOŚĆ PRAGNIE WCIĄGNAĆ „KRUCZOWŁOSĄ” DO SWEGO ORSZAKU

2010-05-30

Musiałem spojrzeć prawdzie w oczy. Byłem pierwszy raz w życiu zakochany. Zakochany jak nieszczęśnik, którego intelekt nie zapanował nad instynktem. Widziałem tylko jedno lekarstwo: jeszcze większą gorliwość w obronie i popychaniu naprzód wielkiej sprawy proletariatu. W tym właśnie czasie rozpocząłem wielką kampanię dialogu biblijnego.

Zamierzałem zachęcić katolików do skrupulatnej i przemyślanej lektury Pisma Świętego, mając na względzie szczególnie zachętę do zupełnej swobody interpretacji na wzór kościołów protestanckich.

Argumentowałem, że taka wolność owocowała pokoleniami rzeczywiście dojrzałych jednostek całkowicie panujących nad swoim życiem. Tymi niezwykle pobożnymi metodami zachęcałem katolików, by zrzucili brzemię Watykanu i uznali w protestantach mistrzów dla przyszłych pokoleń.

Chociaż wydawało się, że przyznaję w ten sposób pozycję dominującą protestantom, ich także osłabiałem, nie dając im nawet szansy, by się w swojej dumie tego domyślili. To osłabienie nastąpiłoby w sposób naturalny w wyniku pojawienia się licznych nowych sekt.

Katolicy nie mogliby odgrywać roli arbitrów w tej rywalizacji, gdyż byliby zajęci głównie zmienianiem siebie. Przekonanie ich, że muszą powrócić do źródeł i dokonać cudownej modernizacji, okazało się rzeczą najprostszą na świecie.

Proponowałem, by nie gasić zapału tłumaczy, pragnących obdarzyć wiernych nowym przekładem Pisma Świętego na języki narodowe. Przekładów oddających Słowo Boże stylem na wskroś współczesnym. Widziałem nawet rodzaj konkurencji między tłumaczami. Nie wspominam nawet o komercyjnym wymiarze tego zagadnienia, ale liczba pojawiających się przekładów nie umknęła czujności kleru.

Modernizacja Słowa Bożego pozwalała często zmniejszyć upór Kościoła. I odbywało się to w sposób bardzo niewymuszony.

Za każdym razem, gdy jakiś rzadszy wyraz mógł przysporzyć trudności ze zrozumieniem, był on zastępowany przez słowo prostsze, na czym oczywiście zawsze tracił sens zdania. Czy mogłem się na to skarżyć?

Poza tym owe nowe przekłady umożliwiły dialog biblijny, w którym pokładaliśmy tak wielkie nadzieje. Sądziliśmy, że dialog ów spowoduje posłanie księży w inne miejsce, gdziekolwiek, byle tylko świeccy mogli zacząć się zachowywać jak dorośli.

Proponowałem też organizację międzywyznaniowych kongresów biblijnych. To był mój rzeczywisty cel i byłem zdolny pójść nawet o krok dalej poprzez włączenie do dialogu rozważań na temat Koranu i innych świętych ksiąg wschodu. Aby zapomnieć o „Kruczowłosej”, osobiście zaangażowałem się w organizację wielu spotkań biblijnych, kładąc nacisk na różne aspekty wybranych kluczowych problemów.

Jeden z moich ulubionych tematów do dyskusji stanowiła osoba papieża, ponieważ wydawała mi się ona rzeczywistą przeszkodą. Mówiąc „osoba papieża”, mam na myśli także wszystko, pod czym złożyła ona swój podpis. Te teksty są dla mnie równie zawstydzające, jak dla podzielonych chrześcijan.

Bardzo byłem wdzięczny komuś, kto poddał mi myśl, że słowo „przemóc” stało się dla współczesnego człowieka niezrozumiałe i zaczął tłumaczyć je, jako „zdołać”.

Zatem zamiast słów „i bramy piekielne go nie przemogą” zaczęto pisać: „i bramy piekielne nigdy nie zdołają uczynić czegoś przeciw niemu”. To sprawiło, że organizowane przeze mnie sesje dialogu biblijnego stawały się łatwiejsze do przeprowadzenia, przynajmniej w niektórych krajach.

Każdy bez trudu zauważa, że to proroctwo, które stwierdza, że piekło nie może uczynić czegokolwiek przeciw Kościołowi, jest absolutnie błędne, a i tak każdy oddycha z ulgą, gdyż dzięki niemu znika odwieczne przekonanie o szczególnej boskiej opiece faworyzującej katolików (a tym samym lekceważącej wysiłki heretyków!)

Uwielbiałem rozpoczynać dialog od analizy Starego Testamentu, dajmy na to Księgi Rodzaju, która sama w sobie jest labiryntem mogącym doprowadzić uczciwego człowieka do szaleństwa. Im bardziej się starzeję, tym jaśniej widzę, że jedynie wiara prostego górnika i wiara dziecka mogą przetrwać w świecie, w którym intelekt przeważa nad wszystkim innym.

Mam nawet powód, by pytać: czy są jeszcze jacyś górnicy, i przede wszystkim, czy są jeszcze jakieś dzieci?

Wydaje mi się dziś, że przynajmniej w świecie zamieszkałym przez rasę białą, dzieci przestają być dziećmi zaraz po urodzeniu, a na ich miejsce pojawiają się mali, nieco denerwujący dorośli.

Nie wiem właściwie, czy mam się z tego cieszyć. Z jednej strony widzę, że religia traci przez to naturalny dla siebie grunt, ale czy moja wiara coś na tym zyskuje?

Nasuwa mi się w związku z tym wiele pytań.

Niedługo po moim spotkaniu z „Kruczowłosą” Francja, jej ojczyzna, została zaatakowana przez Hitlera i poddała się, stawiając jedynie iluzoryczny opór.

Z tej okazji napisałem do swojej dumnej dziewczyny bardzo miły list, w którym chciałem ją pocieszyć. Zgodziła się wybrać ze mną na przejażdżkę na wieś. Dysponowała pożyczonym od wujka samochodem.

Mieszkała w domu brata jej ojca. Ale jej najbliższa rodzina pozostała we Francji w strefie okupowanej. Chciała wrócić do swojego kraju. Ta bardzo ludzka reakcja bardzo przypadła mi do gustu. Podobała mi się ta duma i chęć wybiecia się. Jakże bardzo chciałem, aby stała się moją towarzyszką. Nie mniej jednak nie ośmieliłem się z nią rozmawiać o problemach wiary, nawet nie wspominałem o polityce.

Medalik, który na tym czwartym spotkaniu miała na szyi, otwierał między nami ogromną przepaść.

Kiedy piliśmy herbatę w uroczym zakątku, zdawałoby się, stworzonym dla zakochanych, jakaś para dała nam dyskretnie do zrozumienia, że nie jesteśmy im obcy. Zaniepokoiło mnie to. Mężczyzna był bratem mojego kolegi z roku i byłem kiedyś w odwiedzinach u nich w domu. Poznaliśmy się, więc dobrze, i nie miałem, co liczyć, że zapomniał, że jestem klerykiem. Zaś młoda kobieta była kuzynką „Kruczowłosej”. Byłem wściekły i Ona to zauważyła. Zaproponowała, że przedstawi mnie swojemu wujowi i cioci, abym mógł ją bez przeszkód odwiedzać w jej - czy raczej ich - domu.

Chciałem ją zapytać, w jakim charakterze mam przyjść; jako narzeczony? Jak miałem jej powiedzieć, że chcę ją mieć wyłącznie dla siebie, ale że nigdy nie będzie moją żoną? Nie, byłem skazany na celibat, by służyć sprawie proletariatu.

Gdyby mogła zrozumieć moje aspiracje, byłoby cudownie, ale nie śmiałem nawet napomknąć przy niej o tym problemie. Mogłem jednak odtąd odwiedzać ją w jej rezydencji. Wystarczy, że ona będzie gotowa pogodzić się z istnieniem tej ukrytej części. Zauważyła, że nie wpadłem w entuzjazm, gdy chciała mnie przedstawić swojej rodzinie i poczuła się tym urażona.

To nie była pierwsza kłótnia, ale pierwsze nieporozumienie. Nie miałem wystarczającej kwoty, by wynająć pokój, a co dopiero całe mieszkanie. Partia nie pozwoliłaby na taką rozrzutność, gdyż rozrzutność jest wadą burżuazji.

Tego dnia rozstaliśmy się niemalże chłodno. Oboje czuliśmy, że jakieś nieznane siły zjednoczyły się przeciw nam i naszej nowonarodzonej miłości. Do tego wciąż się zastanawiałem, czy ona nie kierowała się wyłącznie pragnieniem znalezienia odpowiedniego męża, jak inne dziewczęta. Takie pragnienie byłoby zrozumiałe i nie czyniłbym jej o to wyrzutów, ale dla mnie byłaby to katastrofa. Pożegnałem się więc z nią chłodno, nie prosząc o następne spotkanie.

Odpowiedziała lekkim wzruszeniem ramion i powoli odeszła.

Trwałem w bezruchu, moje oczy spoczywały na jej białym karku, który zginał się pod ciężarem zbyt ciężkich włosów i zbyt ciężkich myśli. Gdy tak stałem, nie mogąc się ruszyć, obróciła się i spojrzała na mnie. Dzieliło nas około dziesięć metrów. I wtedy stało się coś cudownego - zawróciła, bardzo powoli szła w moim kierunku, wracała do mnie, patrząc mi w oczy. Kiedy była już bardzo blisko, powoli położyła mi ramiona na barkach. Przez chwilę patrzyła na mnie, nie wykonując najdrobniejszego gestu. Potem dotknęła ustami moich ust. To był mój pierwszy pocałunek.

O TYM, JAK ZWYKŁY MEDALIK ODGRYWA TAKĄ ROLE

2010-06-27

Na szczęście na samym początku wynająłem skrzynkę pocztową, do której klucz miał wujek Achilles. Skrzynka pocztowa jest bardzo przydatna, gdy ktoś nie chce podawać swojego prawdziwego adresu, nie robiąc jednocześnie wrażenia, że tego unika.

Kilka dni po naszym pocałunku, którego wspomnienie budziło mnie każdej nocy, otrzymałem od Kruczowłosej cudowny list. Napisała w nim: „Abym mogła na poważnie zająć się malarstwem, wujek wynajął dla mnie niewielki warsztat. Chciałabym, abyś przyszedł tam w sobotę i napił się ze mną herbaty.”

Wówczas porzuciłem sobotnie śpiewanie w chórze i każdą sobotę spędzałem w jej warsztacie. Namalowała nawet mój portret. Muszę szczerze przyznać, że miała autentyczny talent i byłem dumny z mistrzowskiego sposobu przedstawienia mojej osobowości. Dzięki portretowi mogłem lepiej zrozumieć, kim dla niej byłem. Nie kłamiąc mogę stwierdzić, że w jej oczach byłem kimś więcej niż czarującym księciem. Miałem w sobie więcej ze zdobywcy i prawdziwego mężczyzny... być może skłonnego do okrucieństwa. Spytałem jej, jak postrzegała mój charakter, i czy naprawdę podejrzewała u mnie utajone i budzące niepokój wady.

Wydawała się być tym pytaniem oburzona.

Powiedziałem zatem: - Wszakże portret ukazuje dumnego, władczego ducha, z ukrytą iskierką okrucieństwa.

Zdumiała ją to i stwierdziła, że nadużywam wyobraźni oraz, że wręcz przeciwnie - chciała za pomocą portretu przedstawić idealnego mężczyznę, którym dla niej jestem. A czyż ideał może mieć utajone słabości? Wtedy spytałem, jakie były moje widoczne wady, skoro nie miałem ukrytych. Z zadziwiającą przenikliwością odparła, że słabością moją jest pewna skłonność do zamykania się „w wieży z kości słoniowej”.

Chcąc uzyskać jej przebaczenie, zapewniłem ją - i była to szczerą prawdą - że w mojej „wieży z kości słoniowej” była zawsze u mego boku. Odpowiedziała, że co do tego nie miała wątpliwości, ale że obecność tę wyczuwałem jedynie ja, podczas gdy ona odczuwała wyłącznie pustkę. Jak mogłem pogodzić pragnienie, aby mieć ją całą dla siebie, z niemożnością bycia dla niej wszystkim?

Spytała, jaka przeszkoda sprawiała, że nie mogłem być skłonny do otwartości. Wahałem się dłuższą chwilę, po czym decydując się postawić na szali wszystko, co nas łączyło, wskazałem na medalik, który nosiła na szyi. Spojrzała na mnie ogromnie zaskoczona.

- Nie masz Wiary? - spytała.

- Nie - odpowiedziałem krótko.

Usilnie prosiła, abym opisał wpływ, jaki wywiera na mnie jej medalik.

- Jest on przeszkodą w tym sensie, że reprezentuje coś, czego nigdy nie będziemy mogli oboje darzyć miłością - odrzekłem.

Podczas gdy zastanawiała się nad moją odpowiedzią, kontynuowałem z naciskiem:

- Co więcej, można odnieść wrażenie, że to coś celowo staje między nami, abyśmy nigdy nie mogli należeć do siebie.

Wówczas zdjęła medalik i oddała mi go. Schowałem przedmiot do kieszeni, zadając sobie przy tym pytanie, co z nim zrobić. Sądzę, że był wykonany ze złota. Chciałbym przetopić go i wyryć na nim inną treść, ale było to niemożliwe.

Tak oto jej gest połączył nasze dążenia w bardzo osobliwy sposób. Taktownie nie zapytała, co zamierzam zrobić z podarunkiem. W ciągu kolejnych dni sprawa ta była dla mnie powodem do niepokoju. Kusiło mnie, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tym przedmiocie, noszącym miano „cudownego”, choć oczywiście nie wierzyłem, aby wizerunek ten mógł posiadać moc dokonywania cudów. Moim zdaniem, cuda nie istnieją. Te, o których się słyszy, zostały zmyślane albo znajdują w

przyszłości naukowe wyjaśnienie. Tak czy inaczej, dowiedziałem się, że rzeczony medalik uważany jest za zdolny do przywracania niewierzących na łono wiary. Nie wierzyłem w prawdziwość takiego poglądu, ani, co oczywiste, nie uważałem go za prawdopodobny, lecz obawiałem się, że moja przyjaciółka żywiła w sercu tego rodzaju nadzieję. To z kolei sprawiło, że w moich oczach gest ofiarowania mi medalika, poświęcenia go dla mnie stracił na znaczeniu. Przeciwnie, w świetle tego, co dowiedziałem się o medaliku, we wręczeniu mi go nie było z jej strony żadnego poświęcenia. Czyżbym był aż takim głupcem? Czy zadręczanie się podobnymi myślami nie było głupotą?

Kilka tygodni później, gdy pochylaliśmy się wspólnie nad jej najnowszymi szkicami, na wprost kominka, którego ogień dawał poczucie spokoju i pewności, delikatnie zapytałem, czy nie ofiarowała mi swojego medalika z nadzieją nawrócenia mnie, i czy tym samym nie było to przeciwieństwem poświęcenia.

Wtuliła się w me ramiona i odrzekła:

- Nigdy nie kłamię. Oczywiście pragnę, aby medalik spowodował twoje nawrócenie. Proszę o to każdego wieczora i poranka, najdroższy, i wielokrotnie każdego dnia, może nawet co kwadrans.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Nie obawiałem się niczego ze strony medalika i jej modlitw. Były dla mnie zwykłą dziecinadą. A jednak cierpiałem, jakbym doznał klęski, gdyż ze swej strony z całej mocy pragnąłem, aby została moją współpracowniczką, bez medalika na szyi. Co takiego stało między nami? Im dłużej nad tym myślałem, tym lepiej dostrzegałem nieuchronność logiki, według której to mężczyzna musi być górą, przynajmniej w przypadku tak silnego, palącego uczucia jak nasze. Lecz nie powiedziałem jej tego. Tak czy inaczej wiedziałem, że nie może być całkowicie moja, dopóki jej zapatrywania będą takie, jak dotychczas.

Nie chodziło o moją dumę, ale o konieczność wytłumaczenia jej, dlaczego nie mogłem się z nią ożenić. Sądzę, że gdyby podzielała moje poglądy i chciała pomóc mi w mojej misji, zgodziłaby się na życie w potajemnym związku ze mną. Nie tylko nie mogłem się nigdy ożenić, ale musiałem wydawać się być kimś absolutnie cnotliwym.

Pewnego zimowego wieczoru, gdy zasuwiałem kotary, a ona podawała herbatę, ukłułem się czymś, co w pierwszej chwili wydawało mi się szpilką schowaną we frędzlu kotary. Po bliższym przyjrzeniu się okazało się jednak, że był to mały medalik z jasnego metalu, na którego chropowatej krawędzi znajdowała się

kłująca nierówność. Był to medalik tego samego rodzaju, co poprzednio, lecz znacznie mniejszy.

Gdy się odwróciłem, przyglądała mi się. Zrozumiała sytuację.

- Więc kotary również wymagają nawrócenia? - spytałem z goryczą.

- Nie wygaduj takich niedorzecznych i małostkowych rzeczy - odpowiedziała.

- Właśnie dlatego, że nie lubię niedorzeczności, pragnę zrozumieć, czego spodziewasz się po tym talizmanie.

Zezłościło ją to, a jej twarz pokryła się czerwienią.

- To nie jest talizman.

- A co takiego?

- Akt wiary.

- Wiary, w co?

- Nie w co, a w kogo. Wiary w Nią - w Matkę Jezusa Chrystusa.

(Piszę to wielkimi literami tylko dlatego, że wydawała się mówić wielkimi literami.)

Nie miałem zamiaru kontynuować tej bezcelowej rozmowy, więc milczałem. Ciągnęła dalej, bardzo niskim i spokojnym głosem:

- Należy wierzyć, że metal, drewno lub papier same w sobie nie mają najmniejszego znaczenia. Wiem, że to ten aspekt sprawy cię przeraża. W rzeczywistości medalik jest jedynie prostym uzewnętrznieniem czyjejś wiary, i nie tylko uzewnętrznieniem, lecz również umocnieniem. Noszenie medalika i posiadanie go w miejscu, gdzie pracuję, jest dla mnie zachętą do częstszej modlitwy do tej, która dała mi Jezusa Chrystusa.

A więc nie poświęciła medalika dla mnie - posiadała wiele innych. Nie wiem, co powstrzymało mnie wówczas od tego, by pojąć ją przemocą. Nigdy się nie dowie, jak niewiele brakowało, Aby do tego doszło. Nastąpiła dłuższa cisza.

Drżałem z gniewu. Chciałem wykrzyczeć swoją nienawiść. Mimo to powiedziałem jedynie: - Jesteś moja i nie mogę znieść tego, że kochasz kogoś bardziej niż mnie.

- Ależ dziwnym jesteś człowiekiem! Tych dwóch rodzajów miłości nie sposób porównywać. Wszystko, co się tyczy religii, należy do innej sfery, i nie jest kwestią ani inteligencji, ani uczuć.

- W takim razie, cóż to takiego? - spytałem z niecierpliwością.

- Ogromna sfera rzeczy nadprzyrodzonych.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- Tak myślałam - powiedziała z uśmiechem, któremu nie mogłam się oprzeć. Czy ona zdaje sobie sprawę, że czasami wystarczy jej uśmiech, aby mnie ubezwłasnowolnić?

Niekiedy wydawało mi się, że istnieje tylko ta dziwna siła, która trzyma mnie w jej mocy. Jej uśmiech jest powolny. Zawsze jest czas, aby mu się dobrze przyjrzeć. Usta rozwierają się miękko i tak powoli, że za każdym razem nie wiadomo, czy uśmiech rozwinie się w pełni. Gdy pojawia się biel jej zębów, odczuwa się radość, tak jak w moim wypadku. Wtedy oddaję się całej kontemplacji tej budzącej zachwyt delikatności. Wówczas właśnie to uczyniłem, gdyż potrzebowałem chwili kojącego pocieszenia.

Wówczas zadała najdziwniejsze pytanie ze wszystkich.

- Dlaczego nie chcesz, bym została twoją żoną? - powiedziała.

Nigdy nie stwierdziłem, wprost, że nie chcę się z nią ożenić, lecz Kruczowłosa wydawała się posiadać pewien dar jasnowidzenia, dar, który mnie czasem przerażał. Co naprawdę wiedziała na mój temat?

- Nie zamierzam się żenić, ale nie mogę ci powiedzieć, dlaczego.

Westchnęła lekko.

- Czy to, dlatego, że wierzę w Boga? - spytała.

Kobiety są dziwne: potrafią w ciągu jednej chwili przejść od dziecinady do nadnaturalnej przenikliwości. Taka była moja matka.

- Małżonkowie powinni kochać to samo. To jest tak naprawdę największa przeszkoda - odparłem.

Uśmiechnęła się ponownie. - Zawsze będę kochać tylko ciebie - powiedziała.

O TYM, JAK DZIEŁO DESTRUKCJI WYDAJE SIĘ CZYNIĆ WIELKIE POSTĘPY, POMIMO NAPOTYKANIA NA DZIECINNIE ŚMIESZNE OPORY

2010-07-18

W owym czasie bardzo energicznie zwalczałem kult maryjny. Kładłem przy tym spory nacisk na trudności, jakich przysparzali protestantom katolicy i prawosławni podtrzymując liczne formy kultu matki Boskiej.

Wskazywałem na fakt, że drodzy Bracia Odłączeni byli o wiele bardziej od nas spójni w swoich zapatrywaniach i mądrzejsi. Owa istota ludzka, o której nie wiemy prawie nic, w pewien sposób staje się dla naszego Kościoła potężniejsza (a z pewnością łagodniejsza) od samego Boga. Z tej przyczyny z niemałym rozbawieniem broniłem prerogatyw Boga Ojca.

Podkreślałem fakt, iż wielu protestantów wierzy, że Maria urodziła kolejne dzieci po przyjściu na świat Jezusa. Czy wierzą przy tym, że jej dziewictwo zostało przypieczętowane w momencie narodzin Pierworodnego? Niełatwo to rozstrzygnąć. Ale przy tym wszystkim ciężko jest określić dokładnie, w co wierzą wyznawcy poszczególnych gałęzi chrześcijaństwa. W istocie wyznawcy każdej z nich wyznają wiarę w to, na co mają ochotę.

Stosunkowo łatwiej stwierdzić, czego poszczególne odłamy nie lubią.

Dlatego zalecałem stłumienie kultu Różańca i rozmaitych świąt poświęconych Matce Boskiej. Mój mszał wymieniał ich dwadzieścia pięć, do czego można by doliczyć pewne uroczystości o charakterze lokalnym.

Do tego należy także dodać - będący również częścią moich planów - projekt zniszczenia medalików, obrazków i figurek. Wróżyło to sporo ciężkiej, ale opłacalnej pracy.

Nie wiedziałem jednak, jak zwalczyć kult Lourdes, Fatimy i paru innych celów pielgrzymkowych o mniejszym znaczeniu. Co do Lourdes, jest to zjawisko wyjątkowo irytujące, które stanowi otwartą ranę w sercach protestantów.

Kościół Uniwersalny nigdy nie zapuści korzeni, dopóki miejsce to będzie przyciągać, co roku kilka milionów jednostek wszystkich narodowości.

Poświęciłem specjalnie nieco czasu na zgłębienie fenomenu Lourdes, lecz to szeroko zakrojone przedsięwzięcie nie przyniosło wielu odkryć - jedynie tyle, by wskazać znaczące rozbieżności pomiędzy rozmaitymi prymitywnymi świadectwami.

Według jednego z nich, Bernadette zemdląła, a objawienie podążało za nią aż do jej miejsca zamieszkania - młyna, o ile dobrze pamiętam. Z kolei inna relacja zaprzeczała wystąpieniu tego zdarzenia. Sama dziewczynka o nim nie wspominała.

Można by twierdzić, że o tym zapomniała, lecz nie brzmiałoby to poważnie. Nie znoszę propagandy polegającej na kłamstwach.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że Partia aprobeuje kłamstwo, gdy w grę wchodzi większe dobro, lecz jeśli o mnie chodzi, wolę bardziej godne rozwiązania. Czuję się dzięki temu silniejszy.

Czuję wręcz, że przerastam tych członków Partii, którzy uciekali się do mówienia nieprawdy. Uważam, że zawsze można osiągnąć cel, jedynie bawiąc się prawdą. Wystarczy wiedzieć, jak zinterpretować użyteczny aspekt każdej prawdy. I tak mogę twierdzić, że fundamentem mojej misji jest ten oto nakaz Chrystusa: „Kochajcie się wzajemnie”.

Po prostu pragnę skierować miłosierdzie całego Kościoła ku gałęziom chrześcijaństwa uważanym za heretyckie. Pójście za moim wezwaniem oznaczało nieposłuszeństwo wobec Apostołów, ale tego nikt na ogół nie dostrzegał.

Kolejna trudność polegała na tym, że detronizacja Matki Boskiej pociągała za sobą konieczność zwalczania świąt Bożego Narodzenia. Tymczasem Boże Narodzenie stało się świętem radosnym, nawet dla niewierzących. Ci ostatni nawet nie potrafili przy tym wytłumaczyć, dlaczego i w jaki sposób do tego doszło. Trzeba zauważyć, że pokój i radość to rzeczy dobre i pożądane.

Z drugiej strony, pocieszające jest spostrzeżenie, że skoro Jezus z Nazaretu nie jest Synem Bożym, to Jego Matka jest postacią bez znaczenia. Nie warto nawet znać jej imienia.

Natomiast z punktu widzenia tych, którzy z uzasadnionych powodów pragną nadal trwać w podziwie dla większości moralnych nauk Jezusa, (któremu zarzucam bycie rewolucjonistą), oddawanie czci dziecięctwu tegoż Jezusa staje się śmieszne. Kimże jest to niemowlę powite w żłóbku? Co zmienia?

Należy przy tym zwrócić uwagę na fakt, że o ile protestanci przeważnie nie wierzą w zachowanie przez Maryję dziewictwa przy narodzinach Jezusa-Proroka, o tyle 700 milionów muzułmanów przyjęło ten zamieszczony w Koranie dogmat. Co z kolei zobowiązuje połowę ludzkości do oddawania tej młodej niewieście czci.

Wydaje się to zaiste dziwne. Tak czy inaczej, najdziwniejszą rzeczą jest fakt, że muzułmanie uważają Jezusa wyłącznie za proroka, i to mniejszej rangi, niż ich prorok Mahomet, który przyszedł na świat w sposób jak najbardziej naturalny.

Ludzkie dziwactwa nie znają granic. Wszystkie one umacniały mnie w przekonaniu, że zaprzeczenie dziewictwu Matki Boskiej stanowi najpewniejszą drogę do przekształcenia chrześcijan w grupę uczniów człowieka, którego nie będą wcale uważali za Boga. Któż zaś mógłby nie dostrzec, jak użytecznym jest zabicie Jezusa z Nazaretu przed zabiciem Boga?

Ewangelie i listy apostołskie, w gruncie rzeczy cały Nowy Testament, stałyby się w ten sposób słowem człowieka, i rzecz jasna każdy mógłby wybierać z nich, co mu się podoba, krytykować to, co nie przypada mu do gustu i negować to, co wydaje się przesadzone. I to jest nasz cel. Podczas gdy na Wschodzie ikony stanowiące główny środek kultu Matki Boskiej są ukrywane lub niszczone na obszarze całej Rosji, w świecie zachodniego chrześcijaństwa Różaniec jest bardzo popularny.

Ten rodzaj pobożności, głoszący cześć dla piętnastu tak zwanych tajemnic, należy energicznie zwalczać, gdyż sam w sobie może on podtrzymywać i propagować wiarę w Boga w Trójcy Jedynej.

Co do wszystkich pozostałych spraw, konieczne stanie się zaszczepienie poczucia winy tym, którzy będą nadal odmawiać modlitwę różańcową.

Powyżej znajduje się podsumowanie rozkazów, które rozesłałem na cały świat. W tym samym czasie w moim pokoju kleryka na zdjęciu tej, której miałem nigdy nie poślubić, zawiesiłem medalik uważany za cudowny.

Każdy pomyślałby, że proszę w ten sposób o cud, gdy tymczasem pragnąłem utwierdzić się w mojej nienawiści, która nie była jednak małostkowa.

Następnej soboty Kruczowłosa nie mogła mnie przyjąć, gdyż właśnie udała się na pielgrzymkę maryjną. Mojej wściekłości dorównywało tylko jednoczesne rozbawienie, jako że z całą pewnością moje nawrócenie było powodem, dla którego biedactwo zadawało sobie tyle trudu.

Udałem się, zatem na zajęcia chóru, by poćwiczyć glos, zaniedbany w ostatnich tygodniach. Mój przyjaciel Achilles był zachwycony. Nie mogłem powstrzymać się od opowiedzenia mu o całej historii z medalikiem. Jego reakcja zdumiała mnie.

- Miej się na baczności! Wszystko, co mówią o tym medaliku, to prawda. Jeśli znajduje się on w twoim pokoju, jesteś w niebezpieczeństwie - powiedział.

Spytałem, czy ma gorączkę. Udał, że nie dosłyszał pytania, ale sam widok medalika przyprawiał go o nudności i nie mógł znieść jego obecności bez wpadania w szal. Ludzkie serce to nieprzenikniona otchłań. Fakt, że mój stary profesor – zażarty komunista - wypowiadał się w taki sposób wielce mnie martwił. Po raz pierwszy w życiu zwątpiłem w sukces mojej misji.

Poczułem się strasznie nieszczęśliwy, po czym przyszło mi na myśl, że dzieło to stanowi jedyny powód, dla którego żyję, moją jedyną miłość. Teoretycznie było to dla mnie oczywiste, ale owego dnia pojąłem to w chwili intelektualnej udręki, czując odrazę do głupoty ludzkiego serca.

Chciałem przedyskutować z nim tę sprawę, ale na próżno. Odpowiadał mi:

- Nie wierzę w nic, ani w Boga, ani w diabła, ani tym bardziej w Najświętszą Panienkę - ale tego medalika się obawiam. To wszystko.

- Ale... Więc wierzysz, że mógłby cię on nawrócić, tak?! - krzyknąłem, potrząsając nim.

- Oczywiście, że nie, ale mam obawy. To wszystko.

- Ale czy nie dostrzegasz, jak głupie są to obawy? Czy nie widzisz, jak chwalebne byłoby przewyciężenie tego dziecinnego strachu poprzez umieszczenie tego medalika na widocznym miejscu u siebie w domu?

- Nie odpowiedział, więc nalegałem.

W końcu zmęczony stwierdził: - Pomówmy o czymś innym.

- Nie, mam zamiar doprowadzić tę rozmowę do końca, gdyż przyszłość ludzkości jest stawką w czymś, co uważasz za zwykłą dziecinadę.

Co stanie się z komunistami, jeżeli podobnie jak ty pozwolą, by ikona lub medalik trzymały ich w strachu? Czym się staną? Pomyśl.

Nie chciał o tym myśleć. Dlatego musiałem zrobić to za niego, gdyż nigdy nie będę w stanie pozostawać biernym w obliczu porażki. Każda trudność działa na mnie pobudzająco i inspirująco.

Wobec jego uporu, wyszedłem, trzaskając drzwiami, lecz dobrze wiedziałem, co zamierzam zrobić.

Następnej soboty przed udaniem się z wizytą do Kruczowłosej, wkroczyłem do domu Achillesa z młotkiem, gwoździem i medalikiem na łańcuszku.

Nie dając mu czasu na protesty, wkroczyłem prosto do jego sypialni.

Wbiłem gwoździć do wezglowia łóżka w miejscu, gdzie często wiesza się krucyfiks, i powiesiłem na nim Cudowny Medalik.

Tydzień później Achilles wyprowadził się, i nigdy nie dowiedziałem się, co się z nim stało.

Jego zniknięcie oznaczało spore utrudnienia w mojej pracy, przynajmniej do czasu pojawienia się kogoś innego na jego miejsce.

Zanim zniknął, Achilles zwrócił mi medalik, a także klucz do skrzynki pocztowej.

O KATECHIZMIE ROKU 2000 I BIEDNYM, ALE ŻARLIWYM STUDENCIE

2010-07-25

Owego roku pracowałem ciężko nad stworzeniem nowego katechizmu, odpowiadającego potrzebom Kościoła Uniwersalnego, którego ustanowienia na całym świecie pragnąłem. Kształtowanie umysłów małych dzieci ma kapitalne znaczenie dla każdej szanującej się doktryny. Nauczanie ateizmu od najmłodszych lat jest istotne dlatego, że porzucenie w późniejszym wieku wiary w tajemnicze aspekty doktryny religijnej pozostawia jednak swoistą nostalgię, choć nie dotyczy to istot wyższych, do których się zaliczam.

Byłoby jednak z mojej strony nieuczciwością gdybym nie przyznał, że wielu ateistów nie jest całkowicie szczerych wobec siebie. Nikt nie lubi przyznawać się do słabości. Co więcej, silni muszą udzielać słabym - stanowiącym większość - solidnego wsparcia, aby chronić ich przed upadkiem. W świetle doktryn religijnych jest rzeczą mądrą postrzeganie każdego człowieka, jako upośledzonego, przynajmniej do końca obecnego stulecia.

Wydaje się ze wszech miar rozsądnym oczekiwać, że antidotum będzie dostępne w roku 2000. Pewne słowa należy całkowicie wykluczyć ze słownika ludzkości, czego najlepszym sposobem będzie zagwarantowanie, że dzieci nigdy ich nie usłyszą.

Dlatego stworzenie nowego katechizmu jest o wiele lepszym rozwiązaniem niż żywienie nadziei, że wszelkie nauki religijne zostaną po prostu stłumione - nie, to drugie stanie się możliwe dopiero za dwa lub trzy pokolenia.

Na chwilę obecną należy umiejętnie rozgrywać koncepcję, iż „Kościół” znaczy tyle, co „przyjazne spotkanie braci i siostr z całego świata”. Dlatego nowy katechizm będzie katechizmem zbratania, które zastąpi przestarzały koncept chrześcijańskiego miłosierdzia.

Słowo „miłosierdzie” należy całkowicie wyeliminować i zastąpić słowem „miłość”, które pozwala stąpać po twardym gruncie rzeczywistości i jednocześnie umożliwia grę wszelkiego rodzaju dwuznacznościami bez zwracania na nie uwagi.

Muszę przyznać, że zawsze żywiłem ogromny szacunek dla ukrytej, czy wręcz podskórnej, mocy dwuznaczności, jakiej nabiera ona w rękach jednostek godnych, by się nią posługiwać.

Podczas przygotowywania nowego katechizmu zwracałem uwagę na wszystko, co należy stopniowo zmienić lub znieść w nauczaniu wiernych. Czułem też gorące pragnienie, aby Kruczowłosa podzielała moje przekonania. Ona sama ułatwiła mi to, opisując w rozmowie ze mną pielgrzymkę i tak zwane „cuda”, dokonywane jakoby przez Najświętszą Panienkę.

Wyjaśniłem jej, że wszystkie zjawiska religijne, czymkolwiek są w rzeczywistości, są w istocie jej własnym wymysłem. Gdy gwałtownie zaprzeczyła, powiedziałem:

- Wszystko, czego nie jesteś w stanie zobaczyć lub poczuć, jest wytworem twojej wyobraźni, i nie rozumiem, dlaczego irytuje cię, że to mówię.
- Nie pojmujesz tego, ponieważ nie wiesz, że moja cała wiara została mi objawiona i pochodzi z Niebios. W ogóle nie byłabym w stanie sama tego wszystkiego wymyślić.
- Nie wymyśliłaś tego sama, to fakt, ale naśladujesz jedynie swoich przodków, i tyle.
- Nie - odparła - To coś więcej niż naśladownictwo.

Spokojnie wytłumaczyłem jej, że jej wiara w - dajmy na to - Prawdziwą Obecność Pana Jezusa w Eucharystii generuje tę obecność stosownie do siły jej wiary, podczas gdy dla osoby niewierzącej nic podobnego nie ma miejsca. Nie chciała się ze mną zgodzić, a dla mnie było z drugiej strony istotne, aby podążyła tym tokiem rozumowania, idąc za przykładem protestantów. Moim rzeczywistym i starannie przed nią ukrywanym celem było zniszczenie wszelkiej wiary, ale zanim się o tym dowiedziała, musiała przejść przez okres przejściowy. Za pomocą Ewangelii, a w szczególności cudownych uzdrowień dokonanych rzekomo przez Jezusa, dowodziłem jej, że to wiara, jako warunek uzdrowienia była w rzeczywistości jego przyczyną.

Ona jednak upierała się jak dziecko, twierdząc, że Chrystus pragnął wzbudzić wiarę, która jest większym błogosławieństwem od uzdrowienia ciała. Wyjaśniłem jej, że żaden fenomen religijny nie istnieje bez udziału kreatywnej wiary, i dlatego absurdem jest chrzest niemowląt, gdyż należałoby poczekać do osiągnięcia przez nie pełnoletniości, a sam chrzest powinien pewnego dnia zostać zniesiony, jako magiczny obrządek sięgający swymi korzeniami naszej infantylnej przeszłości.

Rozpłakała się i powiedziała, że powinniśmy przestać się spotykać na jakiś czas. Chętnie na to przystałem, gdyż miałem dużo pracy, a ponadto myślałem, że rozłąka uczyni ją bardziej potulną, jako że kobiety nie potrafią znosić rozpacz tak dobrze jak my mężczyźni.

Co do mnie, byłem do niej nazbyt przywiązany i wykazanie się w ten sposób siłą charakteru było dla mnie powodem do dumy. Otrzymałem pozwolenie na uczestnictwo w dwóch kursach na uniwersytecie, co pozwoliło mi przeniknąć do tych kręgów bez ujawniania faktu, że jestem klerykiem.

Dyrektor seminarium zezwolił mi na noszenie świeckich ubrań ilekroć uznam to za konieczne. Wydawał się przyznawać, że sutanna stała się anachronizmem. Rozumieliśmy się niemalże bez słów, wiedząc doskonale, że współczesny kapłan będzie różnił się całkowicie od swoich poprzedników.

Truizmem jest twierdzenie, że należy być w zgodzie z duchem czasu. Jak o mnie chodzi, uważałem wówczas Kościół za całkowicie wsteczny. Było to dla mnie łatwe do wykazania, iż od czasów soboru trydenckiego Kościół nie posunął się w ogóle naprzód i dlatego powinien nadrobić stracony czas.

Zostałem również zobowiązany do znalezienia kogoś na miejsce Achillesa, jako że sam nie mając czasu, nie mogłem chodzić do skrzynki pocztowej ani kodować korespondencji. Potrzebowałem kogoś godnego zaufania, o co w czasach wojny nie było łatwo. W końcu otrzymałem polecenie nawiązania kontaktu z jednym z profesorów na uczelni, co wydawało się praktycznym posunięciem.

Jednakże gdy zobaczyłem wskazanego człowieka, poczułem niesmak. Posiadam niezawodny talent do oceny ludzi. Od tego osobnika czuć było zdradę. Mimo to dałem mu klucz do skrzynki pocztowej, ale postanowiłem zgłosić sprawę wyższej instancji przed powierzeniem mu prac do zakodowania. Niestety otrzymałem wówczas rozkaz bezwarunkowego podporządkowania się poleceniu.

Bardzo mnie to zmartwiło, i postanowiłem znaleźć drugiego człowieka, któremu mógłbym powierzyć tę samą pracę. W taki oto sposób mógłbym - przynajmniej po zakończeniu wojny - porównać pracę obu korespondentów.

Osiągnąłem w pewnym momencie stan, w którym miałem nadzieję, że moje podejrzenia potwierdzą się, po pierwsze - chcąc poczuć satysfakcję z faktu, że miałem rację, lecz bardziej po to, by móc porównać pracę dwóch korespondentów, którym powierzyłbym dwa różne teksty na ten sam temat, podpisane przez AA-1025. Jeżeli profesor był zdrajcą, powinien postępować ostrożnie, wprowadzając do moich tekstów odpowiednie zmiany, bądź też liczył na to, że w zamęcie wojny uda mu się zniszczyć całość mojej pracy. W obydwu wypadkach miałem dobry powód, aby nająć drugiego łącznika.

Znalazłem go wśród biednych studentów. Był nieco w gorącej wodzie kąpany, ale jego żarliwość odpowiadała moim celom. Dałem mu do zrozumienia, że z nami

może liczyć na świetlaną przyszłość. Nie jest zwyczajem Partii odwoływać się do ludzkiego egotyzmu i zachłanności, ale musiałem sprawić, aby ów młody człowiek nabrał wyważonego spokoju.

Uporawszy się z tą sprawą, poczułem silną pokusę, aby ponownie spotkać się z Kruczwłosą. Za bardzo mi na niej zależało. Nie pasowało to do wizerunku walczącego komunisty, a co dopiero przyszłego Wielkiego Zwierzchnika Partii. Miałem już za sobą trzy lata życia w seminarium, pozostawały mi już tylko kolejne trzy. Wszyscy byli zgodni, co do tego, że po upływie tego czasu zostaną wysłani do Rzymu celem dalszych studiów. Przypuszczałem, że w następnej kolejności sam zostaną nauczycielem akademickim, najprawdopodobniej w seminarium.

Były to kluczowe stanowiska w Kościele, dające mi możliwość cierpliwego formowania całkowicie nowego kleru, który ze starym nie będzie miał nic wspólnego, poza nazwą.

Całe moje życie było zaplanowane, i nie pragnąłem innego. Muszę jednak przyznać, że w tryby maszyny, którą byłem, dostało się ziarenko piasku mające siłę skały. Gdybym tylko był człowiekiem bardziej frywolnego usposobienia, mógłbym uważać Kruczwłosą za sposób spędzania czasu w celach higienicznych. Lecz nie byłem nawet jej kochankiem. I nie chciałem nim być tak długo, jak długo ona nie podzielała najdroższych mi przekonań. Zjednoczenie mężczyzny i kobiety jest albo całkowite, albo nie istnieje wcale. Tylko jedność serc i umysłów może usprawiedliwić zespolenie ciał. W przeciwnym razie mamy do czynienia z prostytutką.

Znajdowałem się w takiej oto absurdalnej sytuacji: kogoś, kto pragnie zniszczyć wszystkie religie na ziemi, a zarazem nie potrafi przekonać do swoich poglądów dwudziestoletniej dziewczyny. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem ją zostawić. Wiedziałem, że Wujek w ogarniętej wojną Rosji nie byłby zbyt szczęśliwy, gdyby się o niej dowiedział. Myślałem także, że obecnie nie byłem pod tak ścisłą kontrolą jak w czasie pokoju. Jednak szczytem moich zmartwień było istnienie czegoś, czego nie miałem odwagi uczynić.

O TYM, JAK APOSTOLSKIE WYZNANIE WIARY I SIEDEM SAKRAMENTÓW ZOSTAJE PODDANYCH SUROWEJ KRYTYCE

2010-08-01

Pracując nad nowym katechizmem, który mógłby nosić tytuł „Katechizm religii człowieka”, zauważyłem, że warto przedstawić go w postaci serii, której kolejne

odcinki zawierałyby jedną porcję zmian i ograniczeń po to, aby umysły mogły się do nich przyzwyczajać stopniowo. Pierwsze wydanie musi zawierać skromną propozycję zniesienia dwóch artykułów apostolskiego wyznania wiary.

Po pierwsze, słowo „powszechny” należy zastąpić słowem „uniwersalny”, które znaczy to samo. Ważne jednak, aby słowo „powszechny” nie raziło odtąd protestanckich uszu i nie sugerowało wiernym obrządku rzymskiego, że są czymś w rodzaju nadchrześcijan.

Następnie należy stanowczo rozprawić się z kultem świętych. Święci muszą zniknąć zanim zniknie Bóg, choć o wiele łatwiej zabić jest Boga niż jego świętych. Na dzień dzisiejszy zalecałbym następującą kolejność: najpierw znieść kult tych spośród świętych, którzy nie zostali oficjalnie zaaprobowani oraz tych, którzy nie odnieśli znaczących sukcesów. Należy także zlikwidować kult świętych, którzy pomagali zwalczać Reformację, gdyż nie mają nic wspólnego z czasami współczesnymi, w których wszystkie serca przepełnia troska o Jedność.

Kolejnym, szczególnie przemyślnym posunięciem będzie dokonana wśród ogromnych emocji i krokodylich łez dyskretna rehabilitacja, a następnie beatyfikacja lub nawet kanonizacja największych heretyków, w szczególności tych, którzy pałali żarliwą, niszczycielską nienawiścią do Kościoła Rzymskiego. Lepiej będzie wypuścić na początek kilka „balonów próbnych” w postaci np. Lutra. Jeśli ze strony katolików nie będzie reakcji w postaci urazy i oburzenia, wówczas ten aspekt naszego dzieła stanie się jak instrumentalna solówka, wygrywana skromnie i z rozważą w regularnych, a potem coraz krótszych odstępach. Potem nastąpi zniesienie wiary w Sąd Ostateczny, Niebo, Czyściec i Piekło, co będzie jeszcze łatwiejsze.

Wielu skłonnych jest wierzyć, że boża dobroć jest w stanie odpuścić każdy zły uczynek. Wystarczy, że będziemy podkreślać znaczenie tej dobroci. Bóg, przed którym nikt nie żywi strachu, szybko staje się Bogiem, o którym nikt nie myśli.

I to jest cel, który należy osiągnąć.

Dokonawszy tej zmiany, można zachować Dziesięć Przykazań Bożych, ale Sześć Przykazań Kościelnych należy bezwzględnie znieść, gdyż są one całkowicie niepoważne... wręcz śmieszne...

W tym miejscu ośmielam się przerwać opowieść Michała, gdyż bardzo pragnę się wypowiedzieć. Nie wiem, co pomyśli na ten temat Wydawca. Być może, wykreślając moje refleksje grubym, czerwonym flamastrem, powie do siebie pod

nosem: „Czy ta pozbawiona talentu kobiecina wyobraża sobie, że pozwolę jej wtrącić swoje trzy grosze w samym środku tekstu, który do niej nie należy?” Jest to bardzo prawdopodobne, i jeśli tak się stanie, nikt poza mną nie będzie o tym wiedział. Jednakże, jeżeli czerwony flamaster jeszcze nie został użyty, pragnę powiedzieć, że czuję się odpowiedzialna za tę publikację i że Sześć Przykazań Kościelnych, które odebrano nam pod pretekstem dania nam szlachetnej wolności dążenia do świętości w zgodzie z naszymi kaprysami, również wiąże się z ogromną odpowiedzialnością, że się tak wyrażę.

Nie uważam narzekania za stosowne, podobnie jak nie przepadam za ludźmi, którym wystarczy samo uskarżanie się, oraz za tymi, którzy mają duszę niewolnika, jednak chcę powiedzieć, że Sześć Przykazań Kościelnych było naszymi przyjaciółmi. Sugerowanie, że przestrzegaliśmy ich, ponieważ sądziliśmy, że w ten sposób automatycznie zyskujemy przepustkę do wiecznego szczęścia, jest z całą pewnością niemal obraźliwe.

Jednak ja, zwykła pielęgniarka, przyzwyczajona do pozostawiania w cieniu, chciałabym wyrazić tę samą myśl, że w naszym stuleciu księża starają się obrzydzić samych siebie wiernym. Dlaczego tak się dzieje, nie mam pojęcia.

Jest jednak rzeczą powszechnie znaną, że księża próbują narzucić nam swoje innowacje w taki sposób, jakby wypływały one z ich czystej nadprzyrodzonej miłości do ukochanych owieczek.

Zgodnie z ich rozumowaniem, my, wierni, ich owieczki, mieliśmy odczuwać utajony żal, widząc naszych drogich kapłanów pełniących swe posłannictwo u stóp głównego ołtarza, co wiązało się z tą niekorzystną dla nas okolicznością, że byli odwrócenii do nas plecami.

To dziwne: nigdy nie przyszło im do głowy, że my wierni doskonale wiedzieliśmy, że zwrócenii są do Boga – w naszym imieniu, rzecz jasna. W rezultacie wzruszyła ich (nie tylko kobiety bywają przebiegłe) nasza izolacja i ukryte żale, więc najpierw przenieśli się na poziom stołu komunijnego, i to wyłącznie podczas największych uroczystości.

Efekt tego był taki, że podczas owych uroczystości tylko pierwsze cztery rzędy wiernych mogły cokolwiek zobaczyć. I to właśnie wówczas, i tylko wtedy, wierni z pozostałych rzędów poczułi się opuszczeni przez swoich kapłanów.

Następnie ustawiono zwykły stół u podnóża schodów prowadzących na ołtarz, a sam główny ołtarz szybko stał się reliktem prymitywnej przeszłości, tak

pretensjonalnym, że zasługiwał jedynie na zniszczenie w epoce, w której człowiek bliski jest samoubóstwieniu.

Ponieważ nie można było przechowywać Najświętszego Sakramentu na stole, został on przeniesiony do wnęki pospiesznie wykutej w jednej z bocznych ścian kościoła. Niekiedy księża przechowywali Najświętszy Sakrament w miejscu, które ongiś było tabernakulum, a obecnie stało się niedużą szafką, odartą z całej swojej uprzedniej otoczki.

Niektórzy kapłani odprawiali mszę i inne obrzędy, stojąc zwrócenii plecami do Najświętszego Sakramentu, co wcześniej było surowo zabronione.

Jednakże patrzyli na nas i mogliśmy ich bez trudu zobaczyć, i to wydawało się znacznie ważniejsze, zwłaszcza, jeśli właśnie musieli wytrzeć nos.

Na wspomnianym stole - nazywanym ołtarzem, choć nikt nie wiedział, czy został on należycie poświęcony i czy zgodnie ze starym zwyczajem zawiera relikwie męczennika - umieszczono niewielki krucyfiks.

Gdy kapłani zorientowali się, że przedstawiony na nim łagodny Chrystus zwrócony jest do wiernych plecami i patrzy tylko na nich samych, zrezygnowali z krucyfiksu, jak również ze świec i innych akcesoriów niegodnych naszego naukowego stulecia. W ten sposób kapłani włączają się w nurt określany zazwyczaj mianem „postępu”, odnoszącym się do wszelkich zmian bez względu na ich wartość, i w ten sposób, za pomocą tegoż naukowego określenia, umieszczają wszelką zmianę na piedestale, gdzie nikt nie odważy się jej sprzeciwić.

Pochylając się po ojcowsku nad naszymi potrzebami duchowymi, księża naszego stulecia dokonali także innych odkryć.

Spostrzegłszy, że protestanci, (do których żywią wyjątkową sympatię) nie klękają w swoich świątyniach, księża doszli do wniosku, że powinniśmy zachowywać się tak samo, choć z innej przyczyny, jako że my wierni nie byliśmy jeszcze gotowi, aby chcieć naśladować protestantów.

Z pewnością jednak pragnęliśmy zachowywać się tak, jak nasi kapłani, którzy przecież nie klękają podczas odprawiania mszy. Tak oto wybrali oni kilku młodych współpracowników i powierzyli im pełnię władzy nad nami, oraz prawo do korzystania z jednego lub więcej mikrofonów.

To właśnie wtedy musieliśmy znosić trwające przez całą mszę musztrowanie za pomocą wezwań „Powstańmy” i „Usiądźmy”, które odbijały się echem w kościele niczym wojskowe komendy, zabijając w nas wszelkie pragnienie cichej i pokornej

modlitwy. „Powstańmy” i „Usiądźmy”, ponieważ, jak często wykrzykiwano, „Na mszę nie przychodzimy po to, aby się modlić”.

W ciągu dziesięciu lat zostaliśmy dobrze wytrenowani i nasi trenerzy mogą teraz odpocząć. Można odnieść wrażenie, że odpoczywanie spodobało im się, przynajmniej na podstawie najświeższych innowacji.

Po pierwsze, rozpowszechnili zwyczaj koncelebracji, w trakcie, której tylko jeden z kapłanów zajmuje się odmawianiem wszystkich mszalnych formuł. Na ogół wybiera on przy tym najkrótszą wersję Kanonu, kierując się - jak sądzę - miłosierdziem wobec kolegów, oczekujących na końcowe „Amen” ze starannie skrywanym zniecierpliwieniem.

Ponieważ współcześnie zwykło się preferować wariant mszy, podczas której wierni wysłuchują trzech czytań, nie będąc przy tym w stanie zrozumieć dziesiątej ich części z powodu różnic kulturowych, kapłani poświęcają samemu obrzędowi ofiarowania (zakładając, że niektórzy z nich nadal wierzą, że sprawują ofiarowanie) jak najmniej czasu, przy możliwie najgłośniejszym akompaniamencie.

Koncelebrowanie umożliwia wszystkim pozostałym kapłanom, którzy wcześniej naprędce narzucili białe alby na spodnie, koszule lub bluzy, wypowiedzenie zaledwie kilku słów podczas Przeistoczenia, z rozpostartymi ramionami (obawiam się, że to ostatnie musi kosztować ich nieco wysiłku). W praktyce zwyczaj koncelebracji umożliwia im drzemanie przez resztę ceremonii.

Schlebiając gustom świeckiego zgromadzenia i chcąc zagwarantować jego uległość wobec przyszłych innowacji, zezwala się na odczytywanie fragmentów Starego Testamentu i listów apostoelskich postaciom takim, jak przypadkowy młodzieniec, prominentna figura ze złą dykcją lub nawet młoda ładna panienka z odsłoniętymi udami.

Mam nadzieję, że Wydawca i czytelnicy książki wybaczą zwyczajnej pielęgniarce, przeważnie powstrzymującej się przed wypowiedaniem swojego zdania, tych kilka linijek, między którymi każdy człowiek niepozbawiony serca odczyta żal, który je zrodził. Jeszcze raz proszę o wyrozumiałość, a teraz ponownie oddaję głos tajemnemu agentowi, mówiącemu o swoim dziele kierowania Barki Piotrowej na kurs prowadzący do katastrofy.

Co się tyczy zniesienia Przykazań Kościelnych, należy chwalić tych spośród chrześcijan, którzy wydorośleli i doskonale rozumieją, że Bóg jest bytem zbyt ogromnym, by zajmować się konsumpcją mięsa w piątek. Jak chodzi o obowiązek

spowiedzi raz do roku, dobrym pomysłem byłoby zastąpienie jej jakąś formą zbiorowego obrządku, podczas którego kapłan recytowałby listę najczęstszych przewin popełnianych względem niższych klas społecznych, gdyż uwagę wiernych należy zwracać właśnie na tego rodzaju grzechy. Osobista spowiedź to strata czasu. W przeciwieństwie do niej obrządek, o którym myślę, będzie służył urabianiu umysłów i przyniesie wspaniałe owoce.

Choć z drugiej strony będą do tego potrzebni dobrze przygotowani księża. W kwestii obowiązkowego uczestnictwa w niedzielnej mszy słuszne wydaje się podkreślanie, że współczesny człowiek potrzebuje świeżego powietrza i zieleni, i stąd jest ze wszech miar wskazane, aby soboty i niedziele spędzać na wsi.

Dlatego tym, którym nadal będzie zależało na uczestniczeniu w obrządkach lub cotygodniowej mszy, należy zezwolić na wybór piątku zamiast niedzieli. Piątkowy wieczór będzie dla nich odpowiednią porą, oczywiście oprócz tych, którzy będą chcieli wyjechać wtedy na wieś. W takim przypadku trzeba im pozwolić uczestniczyć we mszy w czwartki.

Ostatecznie powinno się uznać, że nadrzędnym priorytetem jest podążanie za głosem własnego sumienia.

Powyższa metoda, wymyślona przez protestantów i polegająca na rozstrzyganiu spraw zgodnie z własnym sumieniem, jest znakomita, gdyż wyklucza udzielanie zaleceń, które mogłyby się komuś nie spodobać, pozwalając na zastąpienie ich rozmaitymi sugestiami, nieograniczającymi swobody jednostki.

Jest rzeczą oczywistą, że wszystko, co dotyczy spraw nadprzyrodzonych i kwestii łaski, musi zostać zniesione, gdyż są to pojęcia bardzo niebezpieczne.

Modlitwy, a więc także „Ojcze nasz”, zostaną przez jakiś czas zachowane. Sprytnym posunięciem będzie jednak zobowiązanie katolików do używania codziennego języka w rozmowie z Bogiem. Można to zrobić pod przyjaznym pretekstem przyjęcia we wszystkich krajach wersji Biblii uznawanej przez protestantów, jako podstawy tłumaczenia Biblii na język używany, na co dzień. Będzie to zarazem życzliwy sposób uzyskania od protestantów przebaczenia za cztery stulecia katolickiej arogancji.

Jeżeli - co nietrudno przewidzieć - te nowe tłumaczenia nie spodobają się starszej generacji - tym lepiej.

Potem przyjdzie kolej na siedem sakramentów, z których wszystkie należy poddać rewizji, tym bardziej, że protestanci mają jedynie dwa. Choć chrześcijanie wszystkich denominacji podtrzymują wiarę w Chrzest, osobiście wolałbym, aby ten

sakrament zniknął, jako pierwszy. Wydaje się to stosunkowo proste, jako że jest to obrządek nazbyt infantylny - prawie tak infantylny, jak znak krzyża i woda święcona.

Zacząłbym od podjęcia decyzji, że sakrament Chrztu będą mogli przyjąć jedynie dorośli, i to tylko ci uważający, że nie mogą się bez niego obejść. Dla inteligentnego człowieka konsekwencje tej decyzji są oczywiste. Naprawdę nie mam pojęcia, skąd biorą się wszystkie moje koncepcje, lecz wiem, że jestem geniuszem. Jestem w stanie poczuć emanację mojego geniuszu przez wszystkie pory skóry. Należy rzecz jasna odłożyć na bok wiarę w to, że Chrztost przewyższa grzech pierworodny - grzech ten jest bowiem literackim wymysłem. Choć trzeba będzie nadal powtarzać historię Adama i Ewy, to tylko po to, by się z niej naigrywać: zgodnie z oficjalnym nauczaniem, Chrztost będzie jedynie znakiem przynależności do Uniwersalnego Chrześcijaństwa, obrządkiem, który każdy będzie mógł odprawić, lecz również każdy będzie mógł się bez niego obejść. Przy tej okazji zaleca się wychwalanie świątobliwych jednostek wyznających religie inne niż chrześcijaństwo, co przyprawi jego wyznawców o poczucie winy - uważam, że to znakomity pomysł.

Sakrament Bierzmowania, rzekomo polegający na zstąpieniu na osobę do niego przystępującą Ducha Świętego i udzielany jedynie przez biskupa, należy rzecz jasna energicznie zwalczać. Takie nastawienie do kwestii Bierzmowania pomoże podważyć dogmat o Trójcy Świętej, jako obelżywy wobec żydów, muzułmanów i niektórych młodszych sekt protestanckich.

Dlatego nie będzie już konieczne święcenie Krzyżma Świętego w Wielki Czwartek. Obrzędy tego rodzaju za bardzo kojarzą się z magią.

Konieczne natomiast będzie podkreślanie, że wiara może bez problemów przetrwać bez jakichkolwiek obrzędów czy innych zewnętrznych przejawów, co więcej - pozbawiona tych atrybutów jest nawet szlachetniejsza. Należy także eksponować wybitne cnoty widoczne u pogan, żydów, muzułmanów i komunistów, gdyż zauważyłem, że wielu katolików często wstydzi się większej niż w innych kościołach liczby katolickich świętych.

Co do sakramentu zwanego Pokutą, zostanie on zastąpiony przez zbiorową ceremonię, podczas której właściwie przeszkolony kapłan przeprowadzi zbiorowy rachunek sumienia poprzedzający zbiorowe odpuszczenie grzechów, podobnie jak ma to miejsce w niektórych kościołach protestanckich.

Nowocześni kapłani zostaną uwolnieni od obowiązku wielogodzinnego spowiadania i związanych z tym obciążeń.

Pisząc te słowa, przypominam sobie moich nieszczęsnych profesorów w seminarium - obecnie już nieżyjących – którzy zabrali ze sobą do grobu znaną jedynie sobie i ich Bogu bezużyteczną wiedzę o niebezpieczeństwie, jakie moja osoba stanowi dla przyszłości kościoła.

Wspomniane zbiorowe spowiedzi odbywałyby się dwa razy w roku: na Wielkanoc i na Boże Narodzenie. Wybrani młodzi księża zostaną poddani rzetelnej formacji w duchu socjalizmu, gdyż ich celem będzie kierowanie umysłów na ścieżkę marksizmu poprzez drobiazgową analizę przewin o charakterze społecznym.

Jedynym powodem skruchy będzie brak sprawiedliwości względem innych. Będzie trzeba przekonać wszystkich, że chrześcijanin to osoba pokładająca ufność w człowieku. Każdy zada sobie pytanie: „Czy dla innych jestem godny zaufania?”

Obrządek ten nie będzie zawierał wzmianki o Bogu, ani nie będzie określany mianem sakramentu (wyraz ten również musi zniknąć z naszego słownictwa). Nikt rzecz jasna nie będzie wspominał o odpustach, więcej - nikt nie będzie wiedział, co słowo to właściwie oznacza.

Co się tyczy sakramentu Ostatniego Namaszczenia, będzie trzeba znaleźć dla niego inne określenie. Zniesienie go na samym początku naszej reformy nie będzie możliwe, ponieważ dotyczy on ludzi ciężko chorych, stąd posunięcie takie nie zostałoby dobrze przyjęte.

Trzeba jednak zadbać o to, by pojęcia takie jak życie wieczne, Sąd Ostateczny, Niebo, Piekło lub Czyściec zostały wyparte przez samo pragnienie wyzdrowienia. Po jakimś czasie ludzie zauważą, że lekarze nie potrzebują do uzdrawiania chorych asysty księdza. Niemniej chętnie zgodziłbym się na określenie „sakrament chorych”, a chcąc uniknąć skojarzeń z życiem wiecznym, zezwoliłbym na udzielanie go każdemu choremu, nawet w przypadkach niegroźnych chorób. Z drugiej strony, nie mam obaw związanych z sakramentami: wszystkie one znikną bez większych trudności.

Ludzie nie mają już czasu na takie rzeczy.

Sakrament Kapłaństwa, nadający prawo do sprawowania funkcji kapłańskich, trzeba będzie bezwzględnie zachować. Kościół Uniwersalny będzie potrzebował kapłanów, aby stali się nauczycielami jakiejś odmiany doktryny socjalistycznej.

Jako że ludzie potrzebują świąt, księża ci będą mieli prawo ustanawiania świąt wywodzących się np. z folkloru. Jednakże będą to święta wyłącznie na cześć człowieka, bez wzmianki o jakimkolwiek bóstwie.

Małżeństwo nie jest sakramentem bezużytecznym, pod warunkiem, że będzie wyłącznie uroczystością rodzinną.

Konieczne będzie zniesienie wszystkich obyczajów, które w niektórych zacofanych krajach prowadzą do uznania katolickiego małżeństwa za jedyną legalną formę związku. Przeciwnie, to ślub cywilny będzie jedyną wymaganą formułą. Dzięki temu nikczemny autorytaryzm Kościoła nie będzie już więcej przeszkodą dla rozwodów i zawierania ponownych związków przez rozwodników.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że Jezus z Nazaretu wypowiadał się w sposób sprzeczny z powyższą opinią, ale, jak już wcześniej wspomniałem, powinniśmy wiedzieć, co należy wybrać z jego nauk, by pasowało to do sytuacji współczesnego człowieka.

Nierozzerwalność małżeństwa również jest zobowiązaniem lekceważącym ludzkie pragnienie szczęścia. Ci natomiast, którzy mówią o dobru dziecka ignorują fakt, że dziecko będzie szczęśliwsze, jeśli będzie należeć do państwa.

Wreszcie - co oczywiste - księża chcący wstąpić w związek małżeński nie spotykają się z odmową, podobnie jak kobiety pragnące przyjąć święcenia kapłańskie.

O TYM, JAK OFIARA PONIESIONA PRZEZ BLISKĄ OSOBĘ WYDAJE SIĘ ZOSTAĆ POCHŁONIĘTA PRZEZ RWĄCY NURT

2010-06-13

Moją odpowiedzią na list Kruczwłosej było wzmożenie antyapostolskiej gorliwości. W owym czasie, gdy byliśmy coraz bliżej końca tej idiotycznej wojny, opracowałem sporo ataków, które według mojej oceny miały odnieść całkowite zwycięstwo w ciągu następnych trzydziestu lat. Miałem na myśli rok 1974 jako ten, w którym będę świętował narodziny Kościoła Uniwersalnego, kościoła bez udziału Boga.

Moja nienawiść do rzeczy Nadprzyrodzonych była nie tylko źródłem mojego geniuszu, lecz także dawała mi niewiarygodną siłę w mojej podwójnej pracy. Nie należy, bowiem zapominać, że cały czas studiowałem teologię, i było niezwykle istotne, abym uzyskiwał dobre wyniki. Istotnie, byłem najlepszym studentem każdego przedmiotu, co przyprawiało mnie o śmiech i umacniało w przekonaniu,

że Bóg, który nie podejmuje wysiłków, aby bronić naprawdę w niego wierzących na pewno nie istnieje.

Słowo „Nadprzyrodzony” to pojęcie ukrywające wszystko, czego człowiek nie rozumie, za zmienną kurtyną poruszaną przez złudzenia wyobraźni. Zdecydowałem się zniszczyć ten kiepski teatrzyk.

Moim korespondentom powierzyłem zadanie oczyszczenia Nowego Testamentu ze wszystkich treści, które nie wydawały się całkowicie naturalne i wytłumaczalne. Jest to bardzo użyteczne zadanie, gdyż sam Chrystus wierzył w swoją Boską naturę, przynajmniej, jeśli założymy, że faktycznie wypowiedział przypisywane mu przez niektórych słowa.

Ponieważ jednak nie sposób rozróżnić pomiędzy tym, co rzeczywiście powiedział, a dopiskami Ewangelistów, należy całkowicie odrzucić wszystko, co jest obrazą zdrowego rozsądku. Jak już wspomniałem, największa prężność cechuje działania, które podejmują kwestię dzieci i wywierają silny wpływ na ich słabe jeszcze umysły.

Z żarliwym przekonaniem rozesłałem zalecenia dotyczące wolności każdej jednostki, wolności przysługującej każdemu dziecku odkąd tylko nauczy się chodzić i mówić. Jest bowiem autentyczną, straszną hańbą fakt, że rodzice zobowiązują swoje dzieci do uczestnictwa we mszy w każdą niedzielę. Nie mniej haniebne jest zapisywanie ich na lekcje religii bez pytania ich o zdanie.

Skutek tych nadużyć jest taki, że biedne maleństwa uważają za swój obowiązek przyjmowanie Komunii Świętej, nawet, jeśli wołałyby pójść się bawić.

Jak więc należy nazwać Chrzest, który jest im udzielany zaraz po narodzinach! To już prawdziwy skandal. Zaleciłem energiczną kampanię informacyjną skierowaną do młodych.

Niech każdy poświęci się doinformowaniu najmłodszych w kościele, na lekcjach religii, w szkole czy w radiu, tak, aby każde dziecko wiedziało, że ma absolutne prawo powiedzieć „Nie!”, gdy jego rodzice chcą z niego uczynić posłusznego i obłudnego małego chrześcijanina.

Szczęśliwym będzie dzień, w którym tysiące dzieci otwarcie i radośnie zadeklarują: „Nie jestem chrześcijaninem. Nie wierzę w Boga. Nie jestem tak naiwny jak moi rodzice, którzy są starzy i do niczego się nie nadają.”

Z drugiej strony, przepełniało mnie gorące pragnienie ponownego spotkania z Kruczołosą, które spełniło się, nawet bez moich pokornych prośb. Otrzymałem

czarująco sformułowane zaproszenie, w którym pisała, że pragnie przedstawić mi swoją prośbę.

Pewnej bardzo słonecznej soboty wpadłem jak burza do warsztatu, gdzie czekała na mnie Kruczowłosa. Czy ktokolwiek jest w stanie zrozumieć, jakie znaczenie miały dla mnie te proste słowa: „Kruczowłosa czeka na mnie”?

Wydawała mi się całkowicie moja, do tego stopnia, że chciałem obciąć jej włosy, aby nikt inny nie mógł ich oglądać. Obciąć jej włosy! Cóż za zbrodnicze pomysły przychodziły mi do głowy!

Była niczym uosobienie słodyczy i miłości, gdy oznajmiła mi, że ma do mnie prośbę. Niemal zadrżałem, lecz ona chciała jedynie narysować moje dłonie, które uważała za - jak to określiła - „godne podziwu”. Naprawdę, kobiety miewają absurdalne, choć urocze pomysły.

Dlatego przez całe popołudnie pozowałem z cierpliwością, której mogliby pozazdrościć mi aniołowie, gdyby istnieli, a wszystko tylko ze względu na moje dłonie.

Szybko narysowała szkice, jeden po drugim, i leżały teraz na podłodze, gdy ja unosiłem się w swoistej ekstazie, która musiała być tym, co nazywają pełnią szczęścia. Tak mi się wydaje, a w każdym razie nie przypominam sobie, bym od tamtej chwili czuł się kiedykolwiek tak wspaniale. Wiem, że nikt w to nie uwierzy, ale nasze zjednoczenie było tak całkowite i doskonale w ciągu tych kilku godzin, że nie sądzę, aby banalne cielesne zespolenie mogło dawać tyle szczęścia, które wydawało się zacierać upływ czasu. Gdy liczba szkiców była już wystarczająca, mój czarujący przeciwnik stwierdził, że przeznaczeniem moich dłoni jest dokonanie wielkich rzeczy. Byłem niemal zakłopotany, gdyż w rzeczywistości dłonie te wydawały się odczuwać pociąg do uśmiercania i mordowania.

Tego samego dnia pozwoliła mi bawić się swoimi rozpuszczonymi włosami. Układałem je w różne fryzury, upinałem, zwijałem, potem z wielką starannością szczotkowałem, jakbym miał ich już nigdy nie zobaczyć i przygotowywał je do jakiejś bolesnej ofiary. Dlaczego tamtego dnia dopadły mnie tak dziwaczne odczucia? Nawet dzisiaj nie jestem w stanie stwierdzić, skąd brały się te tajemnicze emocje.

Rozstawaliśmy się z tragicznym trudem. „Zobaczymy się w następną sobotę.” Oboje powiedzieliśmy: „W następną sobotę”, jak gdyby nadzieja ta miała odcisnąć się w proroczej pamięci, jakby miała być jedynym uzasadnieniem pożegnania, jakbyśmy chcieli zawczasu przezwyciężyć wszelkie przeszkody. Przeszkody!

Kompletnie zapomniałem, że w następną sobotę rozpoczynaliśmy nasze rekolekcje, my, którzy mieliśmy zostać wyświęceni za nie więcej niż kilka dni.

Dlatego musiałem napisać do Kruczowłosej krótki list zawierający wiarygodne kłamstwo. Chciałem też dodać z całą prostotą i szczerością, że wkrótce wyjadę do Rzymu i mam nadzieję, że ona uda się tam ze mną.

Jak mogę jednak wspominać o prostocie i szczerości, gdy wszystko wewnątrz mnie krzychało, że popadam w niewolę znacznie gorszą od tej, którą znosiłem w ciągu sześciu lat nauki w seminarium?

Po przyjeździe do Rzymu miałem dostać się w tryby Wiecznego Miasta. Oznaczało to zniewolenie, lecz pocieszeniem miała być pamięć o tym, że jestem ziarenkiem piasku, które ma doprowadzić do zatarcia się maszyny, na tyle skutecznego, że już nigdy nie uda się jej naprawić.

Dlatego rozpocząłem rekolekcje przygotowujące mnie do ostatniej ceremonii, która miała uczynić mnie kapłanem na całą wieczność.

Ponieważ nie wierzę w żadną wieczność, perspektywa ta nie była dla mnie uciążliwa. Sama ceremonia była niczym nieprzyjemny moment, który należało przecierpieć, jak wizyta u dentysty, z tym, że ta ostatnia ma lepsze uzasadnienie.

Ważne było, aby posiadać Wiarę, tymczasem moja wiara godna była ich wiary. Co też wygaduję - przewyższała ją, gdyż nie była infantylna, pełna strachów i lęku. W końcu nadszedł wielki dzień, jak ujmują to dziennikarze. Byłem spokojny.

Wielu chciało zastąpić moją nieobecną rodzinę i prześcigało się nawzajem w dobroci. Wolałbym raczej niewielką przepychankę, lecz trudno jest stwarzać pozory, że pragnie się zostać stworzeniem na poły nadprzyrodzonym i jednocześnie domagać się prawa do rozdawania ciosów wrogom, nawet wymyślonym.

Wkraczając do kaplicy, byłem absolutnie skromny i pokorny. Udawanie tych cech jest bardzo łatwą grą, o ile towarzyszy mu skrywana duma i świadomość wyższego celu.

Podczas gdy kroczyłem powoli ze spuszczonego wzrokiem, po mojej lewej stronie usłyszałem stłumiony krzyk, a następnie okrzyki i odgłosy zamieszania. Zazwyczaj nie spojrzałbym w tę stronę, lecz tym razem sprzeciwiłem się sumieniu (mam na myśli sumienie, które dla mnie stworzono, i którym z rozbawieniem manipulowałem).

Zobaczyłem, jak młodzi mężczyźni niosą omdlałą dziewczynę. Jej mantyla opadła, ukazując długie czarne włosy, które teraz były w nieładzie i ciągnęły się po podłodze kaplicy. Gdy podniosłem wzrok, odwracając go od rozgrywającej się właśnie sceny, napotkałem badawcze spojrzenie profesora, tego, który był moją skrzynką pocztową.

Co robił w tym miejscu? Czy to on przyprowadził tu Kruczowłosą?

Podczas krótkiej wymiany spojrzeń odniosłem wrażenie, że twarz tego człowieka wyrażała poczucie okrutnego triumfu. Obiecałem sobie, że dowiem się prawdy i że ktokolwiek dopuścił się tego haniebnego postępuku, drogo za niego zapłaci.

Reszta dnia upłynęła jakby w smętnej mgle. Każdy mógł odczuwać dowolne wątpliwości w związku z moją osobą, lecz dla mnie nie miało to znaczenia. Nie miałem już nawet ochoty stwarzać pozorów czcigodnej pobożności i słuchać łagodnych głosów wróżących mi przyszłą świętość.

Na szczęście mój współpracownik student podszedł, aby mnie przywitać. Był moim jedynym przyjacielem. Opowiedziałem mu pokrótce, co zaszło i poprosiłem o przeprowadzenie dochodzenia. Chciałem wiedzieć, pragnąłem zabić, pragnąłem krzyczeć, chciałem bronić siebie i jej - zwłaszcza jej - ale było za późno, za późno na zawsze.

Gdybym tylko miał odwagę powiedzieć jej o wszystkim osobiście, być może zaakceptowałaby cierpienie w ciszy i związek ukrywany przed wszystkimi.

W ciągu kolejnych dni przygotowywałem się do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamierzałem złożyć wizytę najważniejszym sektom protestanckim, aby zorientować się, jak narzucić im swoją kontrolę.

Dotąd byłem przez przełożonych zmuszony zbytnio zaniedbywać istotny element wiary, tak mocno zakorzeniony w świecie protestanckim. Dobra znajomość tego aspektu problemu była dla mnie niezbędna przed rozpoczęciem kontynuacji studiów w Rzymie.

Tuż przed wyjazdem student przybiegł do mnie z wiadomością, która przysporzyła mi największego cierpienia: Kruczowłosa wstąpiła do zakonu karmelitanek.

Znalazła się tam z mojego powodu, i z mojego powodu miała już nigdy nie zaznać w najmniejszym stopniu radości kochania.

Nie wiem, czy nie wolałbym oglądać jej śmierci. Bez względu na to poprzysiągłem sobie, że doprowadzę do otwarcia wszystkich zakonów świata, zwłaszcza kontemplacyjnych.

Rozpocząłem bardzo zaangażowaną kampanię przeciwko zakonom zamkniętym, i za pośrednictwem bardzo naiwnych siostr zakonnych doprowadziłem nawet do wysłania w tej sprawie listów do Papieża.

Przypomniałem zakonnicom, że zamknięcie klasztorów było konieczne w celu uniemożliwienia ucieczki niechcącym w nich przebywać młodym dziewczętom, zmuszonym do wstąpienia do zakonu przez rodziców. Kraty w klasztorach miały uniemożliwiać im opuszczenie zakonu i wymianę listów, stąd były one podwójne i wzmocnione drewnianymi okiennicami.

Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby doprowadzić do likwidacji tych pozostałości tak zwanej bożej niewoli. Odwoływałem się przede wszystkim do poczucia honoru owych konsekrowanych dziewic, aby umożliwić im kultywowanie ich pożądania świętości w klasztorach otwartych dla wszystkich. Następnie posunąłem się jeszcze dalej, prosząc zakonnice o powrót do świata, który tak bardzo potrzebował ich obecności. Przekonywałem je nawet, że działałyby więcej dobrego nie ujawniając, kim są poprzez noszenie specjalnego ubioru.

Znaleźli się autorzy gotowi napisać całe książki na ten temat, językiem tak bogatym, że aż budzącym niekłamany podziw.

Zwalczałem również zaciekle zwyczaj golenia głów zakonnicom mieszkającym w klasztorach. Twierdziłem przy tym, że ogolone głowy narażały je na śmieszność w sytuacjach, gdy musiały poddać się jakiemuś zabiegowi w szpitalu. Podkreślałem fakt niemądrego marnowania wielu powołań wśród młodych kobiet, odstraszonych przez owe zwyczaje pochodzące z innej epoki. Atakowałem przestarzałe, uroczyste stroje, tak ciężkie latem i słabo chroniące przed chłodem w zimie. Sugerowałem, aby wszelkie reguły i konstytucje poddać starannej rewizji, najlepiej dokonanej przez mężczyzn, (jako istoty wspaniałomyślne, kobiety wykazują pewną tendencję do przesady).

A jednak, choć widziałem ogrom mojego dzieła, potykałem się o jedną cichą przeszkodę, choć tak znikomą w skali Wszechświata: skromny i bardzo skryty klasztor karmelitanek, z którego nigdy nie przyszedł do mnie żaden list. Z jednej strony świat, z drugiej - klasztorne więzienie. Choć miałem władzę nad pierwszym, byłem więźniem drugiego. Mimo to moje dzieło bynajmniej z tego powodu nie ucierpiało - wręcz przeciwnie.

Paradoksalnie, niemal gotowałem się ze złości rozmyślając o bezużyteczności poświęcenia Kruczowłosej, tak całkowitego i bezsensownego! Moja praca postępowała w tempie raczej monotonnym, gdy dotarły do mnie pogłoski o

możliwym zwołaniu Soboru Powszechnego, co pobudziło mój zapał. Dowiedziałem się, że na rozkaz Papieża przygotowywano pewne schematy.

Przekonałem moich zwierzchników, że może uda się odegrać w tym wydarzeniu zasadniczą rolę. Zostałem wówczas mianowany na najwyższe stanowisko. Wszystko zależało ode mnie, a moje fundusze były praktycznie nieograniczone.

Finansowałem lewicowe periodyki i wielu dziennikarzy, którzy wykonywali później niezłą robotę. Wszelką nadzieję pokładałem głównie w alternatywnych schematach, schematach, które zaproponowałem za pośrednictwem nowoczesnych i śmiałych teologów.

Myślę, że kierowała nimi ambicja, która jest najpotężniejszym z istniejących źródeł motywacji. Udało mi się zdobyć kopie wszystkich oficjalnych schematów, czyli tych, które powstały na polecenie Papieża.

Z mojego punktu widzenia, były one dla nas fatalne, absolutnie katastrofalne, i mówię to z pełną świadomością. Nawet tu i teraz, wiele lat po zakończeniu Soboru, nadal wzdrygam się na ich wspomnienie.

Gdyby schematy te zostały opublikowane i szeroko rozpowszechnione, cała moja praca znalazłaby się (nieomalże) w punkcie wyjścia.

Ostatecznie dzięki mojej żarliwości, a zwłaszcza dzięki pieniądзом, które wydawałem tak, jakby nie mogły się wyczerpać, schematy modernistyczne, (choć muszę to przyznać, bardzo umiarkowane w swej nowoczesności) zostały potajemnie dostarczone na obrady soborowe i śmiało przedstawione celem zastąpienia oficjalnych.

Co do tych ostatnich narzekano, że nie zostały opracowane w warunkach pełnej swobody, świętej wolności dzieci bożych (tak to określano).

Ta sprytna sztuczka przyprawiła całe Zgromadzenie o oszołomienie, z którego jego członkowie nadal się nie otrząsnęli i nigdy nie otrząsną, co dowodzi, że zuchwalstwo zawsze popłaca. Czyż to nie Danton wypowiedział tę myśl?

Mimo to nie jestem zadowolony. Ten rodzaj nie spełnił moich oczekiwań. Będziemy musieli poczekać na III Sobór Watykański, podczas którego odniesiemy pełne zwycięstwo. Co do II Soboru Watykańskiego, nie wiem, co takiego zaszło.

Wyglądało to tak, jakby jakiś niewidzialny diabeł powstrzymywał wszystkie nasze wysiłki na rzecz modernizacji, i to akurat w momencie, gdy wydawały się odnosić skutek. Dziwne to i nieznośne!

Na szczęście od tego czasu znaleźliśmy przebiegły sposób, polegający na ukrywaniu się pod postacią „Ducha Soborowego”, umożliwiający wprowadzanie wszelkiego rodzaju ekscytujących innowacji. To wyrażenie - „Duch Soborowy” - stało się moim asem atutowym. Z mojej perspektywy moja działalność przypomina grę w karty. Tasuję i przekładam, lub wyciągam asa atutowego, aby zgarniać ostatnie blotki.

Jednak dopiero III Sobór Watykański da mi okazję do wystąpienia z młotkiem i gwoździem, nie po to, by przybić Boga do Jego Krzyża, lecz by wbić ostatnie gwoździe do jego trumny.

KONIEC

Aktówka nie zawierała żadnych schematów dotyczących III Soboru Watykańskiego, jest jednak bardzo prawdopodobne, że tego rodzaju teksty istnieją i są badane, porównywane i zmieniane w duchu większej szkodliwości.

W małym notesie znajdowało się kilka potajemnie przeze mnie przetłumaczonych zapisków w języku rosyjskim, które zawierały krótkie wskazówki na temat planów rannego.

Dla ludzi takich jak Michał; II Sobór Watykański był jedynie balonem próbnym, który zasłużył na niewielkie wzmianki w historii, lecz III Sobór Watykański, który po nim nastąpi, przypieczętuje sojusz chrześcijaństwa i marksizmu, a najistotniejszą wprowadzoną zmianą będzie pluralizm dogmatów religijnych i bezkompromisowy dogmatyzm w kwestiach społecznych.

Wszystkie religie, chrześcijańskie i inne, utworzą jedno ogromne Stowarzyszenie i zostaną sprowadzone do swojego wspólnego mianownika, czyli „magii”, i oddadzą prawdziwą władzę pod kontrolę „Czystych”, (czyli marksistów).

Jest rzeczą zdumiewającą, że nikt nie zgłosił się po rzeczy Michała, przynajmniej do dnia dzisiejszego. Jednakże jego samochód kupiony został pod przybranym nazwiskiem i prawdopodobnie ofiara wypadku nie poinformowała nikogo o planowanym wyjeździe.

Nie wiem, gdzie przebywa Kruczowłosa. Być może nadal żyje w klasztorze karmelitanek, którego przeorysza podtrzymuje Wiarę w jej dawnej formie. Jeśli niniejsza książka któregoś dnia potajemnie zawędruje do tego klasztoru, niech wie, że ja również modłę się za duszę Michała.